Nr. 22 — **We Lwowie Sobota dnia 22. Stycznia 1898 r.** — **Rok XXXI.**

Przedpłata wynosi we Lwowie:
Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.
Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki liczba 6 i 7. — Telefon Nr. 171.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Numer „Dziennika Polskiego“ kosztuje 6 ct.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Ogłoszenia przyjmują we Lwowie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki l. 6 i 7 i Biuro dzienników Ludwika Plohna, ulica Karola Ludwika l. 9.
We Wiedniu: pp. Haasenstein & Vogler, (Otto Maas), M. Dukes, H. Schalek, A. Oppelik's Nach., Rudolf Mosse i J. Danneberg; w Paryżu: C. Adam 38, rue de Varenne.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą **10** centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz **50** ct.
Prywatne korespondencje **12** i nekrologja **20** centów od wiersza.
Drobne ogłoszenia $1\frac{1}{2}$ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po **1** ct. od wyrazu.
Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Wydawcy i właściciele: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.

1863.

Lwów 22. stycznia.

Nieśmiertelny duch buntu, ten sam, który pod rozmaitemi postaciami i w rozmaitych dobach dziejowych odwalał z posad leniwą „bryłę świata“ i pchał ją w ramiona światła, postępu i wiedzy, wstrząsnął przed laty trzydziestu pięciu organizmem polskiego narodu, wetknął mu do ręki broń i kazał porwać się na olbrzyma reakcji i ucisku. Mierzono siłę na zamiary —kosami chciano pokonać armaty, było to więc szaleństwo, które musiało się skończyć jednym z najtragiczniejszych pogromów, jakie widziała ludzkość: pogromem narodu, nie armji. Mądrzy politycy trójlojalizmów i organicznej pracy w trzydzieści pięć lat po ucichnięciu ostatnich strzałów polskich stają nad ruinami tego pogromu i jak żonglerzy błyskając przed oczyma społeczeństwa szeregiem cyfr, określających materjalne szczerby, porobione przez rok sześćdziesiąty trzeci w majątku narodowym, usiłują sprowadzić go do rzędu dat, dla których w skarbcu uczuć ludzkich nie ma entuzjazmu, tylko politowanie, nie ma apeteozy, lecz najsarkastyczniejsza krytyka.

Ale te wyschłe serca stoją odosobnione, jak wysepka na wielkiem morzu, które falami swojemi gra pokoleniu bohaterów i męczenników hymn wiecznej chwały i czci. Naród polski jest mądrzejszy i lepszy, niż profesorskie togi krakowskie — bo krokami jego kieruje genjusz piękna i prawdy, ten sam genjusz, który pod wszelką podłość, ciemnotę i zacofanie podkłada ogień buntu i rozrywa je w puch — lub pokonany chwilowo, zostawia po sobie niegasnące zarzewie dalszej walki. Dlatego kult roku sześćdziesiątego trzeciego pomimo wszelkich „tek“ krakowskich, pomimo wypalania go żelazem ironji, zatacza kręgi coraz szersze, obejmuje wszystkie umysły, niezśrubowane doktrynerstwem i rozpłomienia się w wielki, święty pożar pietyzmu. Z radosną dumą patrzymy w ten znicz polski, bierzemy z niego ciepło i blaski i ożywiamy niemi dusze wtedy, gdy w niskiej walce o chleb wkrada się do nich szarzyzna uczuć, pospolitość pragnień i celów.

Gdyby Europa nie była dziś klasyczną ziemią skandalu i rajem aferzystów, święto roku sześćdziesiątego trzeciego nie byłoby świętem naszem wyłącznie — na jego cześć drżałyby hymny na przestrzeni wszystkich cywilizowanych krajów, w których umieją cenić wartość czynów świetnych i dobrych. Ten szalony, pełen bohaterskiej odwagi i bezgranicznej miłości dla ideału atak słabego narodu na stokroć silniejszego przeciwnika, ten poryw rozpaczy, pełen epizodów, przypominających zapał pierwszych męczenników chrześcjańskich — nie jest lokalnym wypadkiem dziejowym. Przez nas mówił piękny genjusz ludzkości, który nienawidzi kłamstwa i tryumfu siły pięści, ów nieśmiertelny duch rewolucji, który trupami najlepszych toruje drogę do panowania prawdy i miłości na ziemi. Jesteśmy sami jedni, odosobnieni w tej chwili, gdy nad mogiłami bohaterów naszych stojąc, posyłamy za ich dusze modlitewne westchnienia — i żal nam Europy ze względu na nią samą. Nasza samotność przysparza nam tylko blasku, bo każdy wielki duch jest samotny na ziemi, a duch narodu polskiego ze swojem cierpieniem i dumą buja jak orzeł nad poziomością bankierskich rządów i społeczeństw...

Historja świata składa się z szeregu fal powrotnych. Był czas, gdy w Europie uważano Polskę za Chrystusa narodów, gdy nasze imię było synonimem najszlachetniejszych uczuć, gdy gabinety musiały się bać tego żywego trupa narodu. Wtedy byliśmy bohaterami chwili, entuzjazmowano się wszystkiem, co się tyczyło męczeńskiej Polski, miano dla nas łzy i laury i serca... Fala materjalizmu zatopiła sumienie ludów i zostaliśmy sami jedni, bez pomocy, bez przyjaciół, cierpiący, lecz nieugięci. Ale świt dobrej reakcji nie pozwoli na siebie długo czekać. My z ewangeliczną wiarą wierzymy w przyszłość prawdy, w tryumf sprawy polskiej, która nigdy nie przestanie być sprawą wolności i światła. Wtedy nasz narodowy kalendarz przestanie być zrozumiałym tylko dla nas, Europa przyjmie go, a datę 22. stycznia zaliczy do świąt całej ludzkości...

Bitwa pod Stefanowem

23. kwietnia 1863.

Ostry świst piszczałki napełnił powietrze, a odbijając się o wysokie sosny i grube dęby, natchnął nowem życiem uśpiony bór. Jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej poczęły powstawać w cieniu nocy żyjące postacie i łączyć się w gromady. Między gęste podszycie lasu przesuwały się jakieś gigantyczne olbrzymy a od blasku dogorywających ognisk lśniły rażącym połyskiem lufy i bagnety karabinów.

Pogrążony dotychczas w pokoju stary las, odżył jakimś nerwowym ruchem, ludzkie postacie snuły się na wsze strony, a różne komendy krzyżowały się naprzemian, zaprowadzając jakiś ład w tem chaotycznem zamięszaniu.

Zaledwie chwilę trwał ten bezład i gwar niezrozumiały — padły krotkie słowa komendy i w okamgnieniu stanęły równym frontem długie szeregi bez ruchu, jak gdyby zaklęte w martwotę.

— Pierwsza kompanja czwórkami w prawo!
— Druga kompanja czwórkami w prawo!
— Oddział na koń! marsz, marsz!
— Kosynierzy w czwórki!

I rozpoczął się ruch prawidłowy.

Przodem kilkadziesiąt konnicy, za nimi kompanja strzelców Witolda Rogojskiego, dalej kompanja Kicińskiego, na tępnie oddział kosynierów z Konstantym Olszewskim, a w tylnej straży dwanaście koni, przy których ostatnie dyspozycje wydawał Dyonizy Bertholi.

Swobrodny wódz, odziany w krótki węgierski kożuszek, z baranią rogatywką na głowie i harapem w ręku, wysunął się na czoło kolumny, po bokach stanęli szef sztabu Eminowicz i rodzony syn wodza, młody Czachowski.

„Marsz, marsz wiara!“ zagrzmiał donośnym głosem Dyonizy Czachowski i oddział sformowany opuścił leże swe zajęte w Piekiełku, nieopodal fabrycznego Neklania.

Po krótkim marszu wysunęła się kolumna z gąszczu i wkroczywszy na gościniec radomski posuwała się miarowym krokiem między odwieczne dęby i masztowe sosny, okrywające całą drogę nieprzeirzanym cieniem.

Było to po północy z 22. na 23. kwietnia 1863.

Zwolna poczęły pierwsze brzaski łamać się z ciemnościami bezksiężycowej nocy i gdy oddział doszedł do krzyżującej się z gościńcem radomskim szosy kieleckiej przemykały się pomiędzy gęste gałęzie szpilkowych drzew promienie wschodzącego słońca.

Skrzydlaci mieszkańcy borów zrywali się z wrzaskiem z gniazd, wystraszeni miarowym a jednostajnym odłosem marszowego kroku posuwającej się kolumny, wędrowny Słowak ze szklanym swym towarem przystanął z pokorną miną i wytrzeszczył oczy na niezwykłe zjawisko, płochliwe sarny przemknęły całą gromadą po przed front przedniej straży i równocześnie z przejściem oddziału na szosę kielecką padł surowy rozkaz maszerowania w największym spokoju z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

— Pierwsze pół kompanji w tyraljery w prawo!

— Drugie pół kompanji w tyraljery w lewo!

Przeleciała z ust do ust podawana sobie komenda i w lot rozsypała się kompanja Rogojskiego na prawo i na lewo od szosy. Forpoczt kawalerji posunął galopem po równym gościńcu, a reszta oddziału maszerowała w zwartej kolumnie o kilkaset kroków za łańcuchem tyraljerów.

Po niespełna półgodzinnym pochodzie przez gęste podszycie i pomiędzy padłe od starości drzewa, dochodził łańcuch tyraljerski do brzegu lasu i widać już było w oddali rozsiane po lewej stronie gościńca pojedyncze zagrody kolonji Stefanków, pobudowanej na zrębie przetrzebionego w tem miejscu lasu. Opodal srebrzył się jasną strugą wąski strumyk, przepływający osadę w poprzek, nad niem wznosił po nad wszystkie dachy dumne swe czoło obszerny młyn, a pozatem wszystkiem dostrzegalna już wolnem okiem jakaś zwarta olbrzymia masa, która się poruszała jednostajnym, falistym ruchem, jak gdyby cielsko jakiegoś przedpotopowego potwora.

Nagle olbrzym rozpadł się na atomy i po obu jego bokach utworzyły się skrzydła coraz bardziej się rozprzestrzeniające.

Teraz zrozumieliśmy, że lada chwila nastąpi starcie — Moskwa dostrzegła nasze forpoczty i w lot uformowała się w szyk bojowy z wysuniętą naprzód linją tyraljerską.

Czachowski poprowadził pierwszy raz w ogień galicyjski oddział majora Łopackiego, wcielony do swego obozu w lasach iłżeckich.

Młody żołnierz szedł naprzód z zapartym wprawdzie oddechem i niepokojem właściwym nawet starszemu wojownikowi w przedchwili bitwy. „Stać!“ zakomenderowano, wydając równocześnie zakaz strzelania przed palbą rosyjskiego oddziału. Łańcuch moskiewski wszedł już między płoty zagród Stefanowa, a usadowiwszy się pod osłoną chat i sadów, rozpoczął palbę. Centrum swych sił ukrył wódz rosyjski, major Nikoforow, za ścianami naszego młyna.

Kawalerja nasza wysunięta na czoło kolumny, zetknęła się już z asystencją rosyjskich furgonów i śmiałym atakiem rozpędziwszy tchórzliwe kozactwo, zabrała 8 wozów z prowiantem i amunicją.

„Naprzód marsz! ognia!“ zakomenderował Czachowski.

Ruszyliśmy wolnym krokiem, strzelając na upatrzonego. Jeszcze kilkaset kroków, a wyszliśmy z lasu na czyste pola osady.

„Biegiem naprzód!“ padła znów komenda i w kilka minut przebyliśmy pod gradem kul moskiewskich czyste pola, dopadając kilku chałup z tej strony osady.

Główna kolumna naszego oddziału przystanęła pod osłoną lasu.

Luźna pukanina między dwoma łańcuchami tyraljerskimi trwała niedługo, bo Moskwa licząc na lichą broń, spotykaną dotychczas u powstańców, posunęła się zbyt śmiało na oddalenie ledwie dwustu kroków. Przekonawszy się jednak o celności naszych dalekonośnych strzałów z belgijskich sztućców, w jakie był uzbrojony cały oddział Łopackiego, zaczęła szybko opuszczać zajęte pozycje i cofać się w stronę młyna.

Nikiforów spostrzegłszy ten niepożądany odwrót, pchnął jednym rzutem wszystkie swe siły i chciał oskrzydlić nas z prawej strony. Wtenczas rzucił i Czachowski swoją rezerwę na plac boju, a ogień naszych ochotników takie zrządził spustoszenia w moskiewskiej kolumnie, że ta nie wytrzymawszy pierwszego ataku, dała tył w bezładnym popłochu.

Rozpoczęła się teraz gonitwa za zmykającym nieprzyjacielem.

Nasi wpadli między opłotki i zdarzyło się wiele wypadków, że wystrzeliwszy karabin, brali się w pojedynkę za bary z Moskalami.

Palba słabła w miarę, jak Moskale umknęli po za donośność naszych strzałów i nie upłynęła godzina od rozpoczęcia walki, a bój został rozstrzygnięty na naszą korzyść.

Dziewięćdziesięciu dwoch Moskali pogrzebaliśmy na miejscu w kilku wspólnych dołach, wybranych przez miejscową ludność — rannych unieśli Moskale z sobą — a oprócz tego wzięliśmy do niewoli dziewięciu sołdatów, jednego podoficera, felczera i samego dowódzcę oddziału Nikoforowa, którego między krzakami dopadli Gustaw Fiszer i Edward Webersfeld i przywiedli przed Czachowskiego.

Mnóstwo broni i amunicji oraz cały tabor wozowy wpadł w nasze ręce.

Z naszej strony mieliśmy czterech zabitych a mianowicie: kapitana Grzmota, świeżo przybyłego z rosyjskich szeregów kapitana ich sztabu, Niemca Weissa, który nie umiał ani słowa po polsku, Drónickiego,, zarobnika z Krakowa, nazwiska czwartego nie pamiętam. Ranni zostali: major Łopacki, dowódzca oddzału galicyjskiego, Konstanty Olszewski kapitan kosynierów, Tabaczyński, porucznik z drugiej kompanji strzelców, Wałaszyński student z Rzeszowa, Jan Markuszka, lokaj dawny Skrzyńskich ze Strzyżowa i dwóch kosynierow niewiadomego mi nazwiska.

O godzinie jedenastej rozpoczęliśmy powrotny marsz do obozu w Piekiełku. Na czele szła szpica konna, dalej forpoczt piechotny, asekuracja skrzydeł a następnie oddział, przed którego frontem prowadzono Nikiforowa.

Za nadejściem do obozu oczekiwała nas pozostała reszta oddziału i odbyło się przyjęcie zwycięzców z wojskowymi honorami.

Na poczekaniu znalazła się w obozie żydowska muzyka z któregoś sąsiedniego miasteczka, wiele pań z okolicznych dworów i rozpoczęto żwawe pląsy na zieleniejącej świeżo murawie.

Czachowski złożył tymczasem sąd wojenny, przed którym postawił Nikiforowa, sprawcę rzezi niewinnych mieszkańców w Suchodniowie i Wąchocku. Sąd orzekł karę śmierci przez powieszenie na Nikiforowa i resztę wziętych w niewolę Moskali, a to dlatego, że jenerał rosyjski Uszakow schwyciwszy przed tygodniem dwóch powstańców, kazał ich powiesić.

— „Ząb za ząb!“ — rzekł Czachowski i tak się też stało.

Podczas egzekucji urwał się jeden ze skazańców i na ogólne nasze wstawienie się ułaskawił go Czachowski, zwłaszcza, że był to chłop polski nazwiskiem Turlin i objawił ochotę służenia w szeregach powstańczych. — Niedługo mieliśmy z niego pociechę, bo w kilka dni znikł bez śladu, a w jakiś czas dowiedzieliśmy się, że jest napowrót u Moskali i pozostaje w załodze miasta Radomia.

Czachowski, nieszczodry w pochwałach, wyraził naszemu oddziałowi chwalebne uznanie, w miejsce rannego Łopackiego zamianował majorem i dowódcą naszym Witolda Rogojskiego, awansował Bertholego na kapitana, zamianował kilku oficerami i powierzył dowództwo pierwszej kompanji, osieroconej przez awans Rogojskiego, kapitanowi Brückmanowi.

W tych warunkach otrzymaliśmy pierwszy chrzest ogniowy i namaszczenie do dalszej walki z wrogiem.

Edward Webersfeld.

Nasz sztandar.

Ilekroć naród nasz zerwał się, aby potargać więzy najezdźców, tyle razy wiodły go do boju krzyż pospołu z mieczem, ideały religijne z ideałami narodowymi. Leży to zresztą w charakterze narodu polskiego, że głębiej i szczerzej wiąże się z religją, aniżeli jakikolwiek inny naród. I najczęściej tak bywało, że w chwilach największego upadku, zwątpienia i apatji — rozgorzał nagle żar religijny a w jego ogniu oczyszczał się i wzmacniał duch narodu. Tak było, gdy Szwed opanował Polskę całą, gdy w jego ręku były obie stolice, gdy król uszedł z kraju — gdy więc państwo najzupełniej było w mocy najezdźców. Cóż wówczas sprowadziło zmianę? Oto w pierwszej linji bohaterska obrona Częstochowy, która w całym kraju wywołała skruchę, żal, pokutę wzbudziła pragnienie zrzucenia jarzma, postanowienia walki w obronie ojczyzny i wiary. Gdyby nie ten potężny, ogólny prąd, który objął całe społeczeństwo i odrodził je moralnie — nie wiele potrafiliby byli zdziałać nawet tacy Czarnieccy i Sapiehowie.

Ten sam ścisły związek pomiędzy przywiązaniem do Ojczyzny i wiary ujawniał się w każdej walce o niepodległość, ale najjaśniej wy-

WYPRAWA NA MIECHÓW

17. lutego 1863.

Na godzinę siódmą wieczorem dnia 2. lutego 1863, w święto Gromnicznej Matki Boskiej, naznaczono nam punkt zborny na polach łobzowskich, w lewo od rogatki Kleparskiej.

Już od szóstej przemykały się ulicą Długą gromadki po kilku młodych ludzi, dążąc na oznaczone miejsce zebrania.

W cieniu chmurnej, bezksiężycowej nocy snuły się pomiędzy wierzbami polnej drogi różnożodne postacie bądź w pojedynkę lub w zbitych kupkach, zawierając znajomość z nowymi towarzyszami wspólnej wyprawy, gwarząc o przyszłych losach, osłoniętych nieprzejrzaną mgłą tajemnicy i stawiając pomyślne horoskopy dla podjętej z wrogiem śmiertelnej walki.

Dzwon Marjacki uderzył siedmkroć, a wiatr niósł dogorywające dźwięki na pola łobzowskie.

— „W szeregi po czterech!“ — zabrzmiał krótki i energiczny głos komendy z pośrodka zebranych.

Młódź uszykowała się z pośpiechem, tworząc długą linję, złożoną z trzydziestu sześciu czwórek gotowych do marszu.

— „Marsz, marsz!“ — zakomenderował nieznany nam jeszcze przewódzca i pochód ruszył miarowym krokiem przez puste pola, pokryte cienką warstwą śniegu.

Jakiś dziwnie poważny nastrój owiał maszerującą drużynę, która posuwała się naprzód w grobowem milczeniu.

Przed ziemnym fortem krakowskiej warowni, wysuniętym na dobre pół mili w tę stronę, krzyknął ustawiony tam na poczcie żołnierz austrjacki.

— „*Halt, wer da!*“

— „*Gut freund!*“ — odpowiedzł nasz przewódca i przeszliśmy mimo fortu bez żadnej przeszkody.

Po trzygodzinnym marszu wkroczył oddział między niskie zarośla, po za któremi rysował się w cieniach nocy wysokopienny las, do którego zdążaliśmy krętą drożyną.

— „Stać!“ — ozwała się komenda i po bliższem rozpatrzeniu się dojrzeliśmy przydrożną karczmę, oświetloną i jak gdyby przygotowaną na nasze przyjęcie.

W samej rzeczy oczekiwano nas, bo zastaliśmy tam gotową przekąskę, złożoną z kieliszka wódki, kawałka chleba i sporego kęsa solonej słoniny.

Wiara spałaszowała dar boży i po półgodzinnym wypoczynku zagłębiła się w lesie gdzie przystanęła, żeby się zaopatrzyć w drągi, które obok dwóch rewolwerów, jednej dubeltówki i kilku pałaszy, stanowiły całe nasze uzbrojenie.

Żadnemu z nas i przez myśl nie przeszło, że w razie zetknięcia się z najmniejszym patrolem kozackim, jesteśmy właściwie bezbronni i skazani na pewną zagładę. Dziwna wiara w Opatrzność ożywiała te młode serca i z swobodnym umysłem, pełni otuchy przekroczyliśmy granicę Królestwa Polskiego, tuż za lasem.

Czartaki objezdczyków (pogranicznej straży rosyjskiej) stały pustka, a wzdłuż całej granicy nie było widać żadnego saldata. Dotarłszy do pierwszych chat pogranicznej wioski na terytorjum Królestwa Polskiego, zasięgnął nasz przewódzca języka, a wiadomości musiały wypaść pomyślnie, stanąwszy bowiem przed drużyną, oświadczył, że możemy być spokojni, bo Moskale wynieśli się ze szczętem do miasteczek i wobec gromadzącego się w Ojcowie licznego oddziału powstańczego, nie wychylają nosa po za mury miejskie.

Nadedniem około godziny 5. jeszcze wśród ciemności weszliśmy na rządowy gościniec i po krótkim marszu ujrzeliśmy z wyżyn, otaczających obszerną kotlinę — Ojców, miejsce kąpielowe z nielicznemi zabudowaniami zakładowemi i resztkami starego zamczyska na przeciwległej górze.

— Hura! — wykrzyknął nasz przewódzca.

— Hura! — powtórzyła po trzykroć młoda wiara, a okoliczne góry niosły ten okrzyk w nieskończoność, podając sobie kilkakrotnie odbijające się echo, dopóki nie zamilkło. Jeszcze pięć minut drogi po stromo spadającym gościńcu i stanęliśmy w środku zakładu, doprowadzeni tam przez wedety, które nas sobie podawały z ręki do ręki

Na całem obejściu spoczywało wszystko twardym snem i tylko straże, przechadzające się w świetle migocących lamp, świadczyły, że tu istnieje jakieś życie.

Przewódzca policzył drużynę i niestety brakło 5 towarzyszów — utrudzeni widać pierwszym marszem w niezwykłych warunkach — wrócili chłopaczki do Krakowa do domowego kominka i ciepłego łóżka.

Na razie wpakowano nas do obszernej stodoły wprawdzie bez wrot i o ścianach, przez które miły boreaszek pociągał ze świstem, ale pełnej siana i słomy, w którą zagrzebawszy się po samą szyję, zasnęliśmy twardym snem.

Dziś niepomnę, jakie widma wytwarzała mi rozbujała fantazja w czasie tego pierwszego w obozie wypoczynku, ale pamiętam, że zbudził mnie głos trąbki, która w owej chwili zdała mi się surmą bojową, albo co najmniej trąbą Archanioła zwołującego grzesznych na straszny sąd. Podobnego uczucia musieli doznać i moi towarzysze zagrzebani po uszy, bo naraz cała słoma zaczęła się poruszać falistym ruchem i z każdego zakątka szopy wychylała się na świat boży zaspana twarz wystraszonego osobnika, ogarniającego z włosów i oczu resztki pozostałej na nich mierzwy.

Zwolna i nieśmiało zaczęliśmy się zapuszczać na obszerny dziedziniec między szopą i okazałym piątrowym domem, nazwanym „*Hotel pod Łokietkiem*“ gdzie powstańcy najrozmaitszego wieku, w różnorodnych ubraniach i najrozmaiciej uzbrojeni przebiegali tam i napowrót.

Niebawem zjawił się nasz nocny przewodnik, zwołał swój hufiec uszykował w dwa szeregi i zapowiedział, że zostaniemy przedstawieni dowódzcy obozującego w Ojcowie oddziału, pułkownikowi Kurowskiemu.

Chłopcy naprędce otrzepali odzież z pozostałej słomy, ten i ów podgarnął ręką zsuwające się na oczy włosy, poprawił czapki i wsparci na nieodstępnej dotąd broni — na kijach wyłamanych po drodze — oczekiwaliśmy przybycia naczelnika.

Posterunek ustawiony przy bramie wchodowej do „Hotelu“ sprezentował broń, kręcący się obok ochotnicy przystanęli w wojskowej pozycji, dotykając czapek prawą ręką i w ślad za tym ruchem wyszło trzech mężczyzn z hotelu. Pierwszy z nich, wysoki mężczyzna o łagodnym wyrazie twarzy, z gęstą brodą, przepasany trójkolorową szarfą po bajowej kurtce, w ciemnej rogatywce i z pałaszem u boku — to Kurowski. Za nim o krok w tyle szedł Dobrski, szef sztabu i zastępca dowódzcy, a obok niego drobny człeczyna o twarzy kościstej z żywo biegającemi oczyma, w czerwonym fezie na czarnych kędziorach i w granatowej kurtce z srebrnymi guzikami, z pod której widniała ciemno granatowa kamizelka z szerokim białym krzyżem wzdłuż i wszerz całych piersi. Był to Rochebrune, dowódzca Żuawów. Przeszli wzdłuż całego szeregu, spoglądając na każdego z osobna badawczem okiem, poczem stanęli w pośrodku frontu.

— Witam was towarzysze broni! — przemawiał Kurowski.

— Hura! — zaintonował nasz przewodnik, za którym powtóczyliśmy ten okrzyk.

— Sama młódź inteligentna! — odezwał się Kurowski do Dobrskiego i na tem skończyło się przedstawienie.

Zaraz potem poprzydzielano nas do różnych działów broni, przyczem pozostawiono pierwszeństwo Rochebrunowi w wyborze żołnierza do formującego się oddziału Żuawów.

Wraz z kolegami gimnazjum rzeszowskiego; Henrykiem Rożą, Kazimierzem Salwachem, Emanuelem hr. Moszyńskim, Kahanem i jeszcze kilku innymi dostałem się do Żuawów.

Był to oddział, obdarzony w Ojcowie wszelkimi przywilejami. Na kwaterę przeznaczono nam osobny dom, świeżo zbudowany piątrowy dworek szwajcarski nad rzeczułką, która przecina dolinę ojcowską; — gotowaliśmy dla siebie zupełnie osobno, a przyznać należy Rochebrunowi, że umiał chodzić za swym żołnierzem. Co było najlepszego w magazynach, dostawali Żuawi.

Musztrę odbywaliśmy na obszernej łące tuż za budynkiem hotelowym.

Trzeciego dnia po jakiem takiem wćwiczeniu nas w obrotach, marszach, formowaniu carré itp. rozdano broń... same dubeltówki różnego pochodzenia i najrozmaitszych kalibrów..

stępuje w ostatniem powstaniu. Powstanie styczniowe dlatego już było możliwe, że poprzedziła je wielka duchowa rewolucja, której najsilniejszą twierdzą był kościół. Naród skazany na śmierć, deptany i uciskany przez najezdzcę, nie znajdując pomocy na ziemi, szedł do kościoła, padał na kolana i łkając prosił Boga, by nie zwlekał dłużej z wymiarem sprawiedliwości. Budziła się religijność a z nią dokonywała się moralna poprawa narodu. Pieśń *Boże coś Polskę*, która odezwała się w biednym zabużańskim kościółku rozbiegła się po całej Polsce, podnosząc ducha, kojąc rany — a niebawem rozbrzmiewała nią Warszawa w czasie pogrzebu Sowińskiej, żony bohatera z r. 1831. Pieśnią tą rzewną błagano Pana, aby powrócił zabraną wolność, samoistność Ojczyzny — błagano o nietykalność ołtarzy burzonych przez wroga, o całość ognisk rodzinnych — a gdzie pieśń ta rozbrzmiewała — tam budziło się uspione uczucie narodowe, budziło się przekonanie o świętości obowiązków wobec Ojczyzny i narodu, budziło się pragnienie wolności i swobody. Nie było tam pragnień zemsty i odwetu — nie! Odrodzenie to moralne było na tle nauki Chrystusowej, opartej na miłości i przebaczeniu; ale jeżeli lud warszawski zapłonął takiem ogniem ojczystej miłości, jeżeli tak gorąco rwał się do boju o wolność, to główna zasługa owych pobożnych obchodów, które jaśniej do ogółu przemawiały, niż wszelkie odezwy klubów i stowarzyszeń!

Ekstaza wzrosła jeszcze po dzikich mordach w lutym 1861. Nietylko Warszawa ale kraj cały przybrał żałobę, a każdy, kto wdział czarną suknię, skupiał się w sobie dla Ojczyzny i Boga.

Ten wpływ umoralniający ogół nie uszedł nawet oka wroga — a Moskale to podniesienie ducha, uszlachetnienie myśli społeczeństwa sami zwali „moralną rewolucją". Duch chrześcjański miłości i przebaczenia ubrał cały naród męczenników w szatę godową. A kiedy później Rosja szubienicami, teroryzmem, gwałtami tłumiła powstanie, bohaterowie nasi, jak ongi pierwsi wyznawcy Chrystusa modlili się za swych siepaczy.

Rosyjski historyk powstania hr. Berg, nie może ukryć podziwu i uwielbienia dla Traugutta i tych, co z nim jednocześnie śmierć ponieśli (Roman Żuliński, Rafał Krajewski, Józef Toczyski i Jan Jeziorański).

Zgon ich przypomniał męczeństwo pierwszych chrześcjan — zanim się jeszcze rozstali ze światem, już do niebiemskich należeli krain.

Traugutt podniosłością ducha religijnego wprawia w podziw kapłana, który na śmierć go dysponował i w ostatniej chwili życia, na szubienicy, ze stryczkiem na szyi, składa ręce jak do modlitwy, wzrok podnosi ku niebu i w takiej postawie modlącej się przebywa przez całą długą chwilę bolesnego w ręku kata konania.

Ale i zgon szeregowców na polu walki nie mniej był bohaterski — i tu czuć było jak w umysłach i sercach tych ludzi zapał patrjotyczny jednoczył się z religijnym zapałem.

Duchowieństwo nasze stanęło w tej dobie na wysokości zadania, pełne uczuć patrjotycznych nie oddzielało siebie od narodu, lecz podzielało wszystkie jego uczucia, nadzieje i złudzenia. Dopóki to możliwem było, działało łagodząco i wstrzymywało, ale później, gdy fala ruchu wszystko uniosła, szło z narodem ręka w rękę, składało dowody poczucia obywatelskiego na każdym kroku.

A wyższe duchowieństwo?

Wszak wystarczy wskazać na świetlaną postać arcybiskupa-męczennika ks. Felińskiego, który na widok gwałtów moskiewskich, chociaż wiedział co go czeka, śmiało jak zastępca boży odezwał się w swym liście do cara (15. marca 1863):

„Krew się leje szerokimi strumieniami — wola — a represja zamiast zatrważać umysły, zwiększa ich oburzenie... Instytucje nadane przez W. C. Mość są niedostateczne, aby zapewnić szczęście kraju. **Polska nie zadowoli się autonomją administracyjną, potrzebuje ona życia politycznego!**"

A za duchowieństwem polskiem odezwał się potężny głos — przewodnika wiernych, głos Ojca św. Piusa IX. Już w dniu 22 kwietnia 1863 napisał list do Aleksandra II. błagając go o sprawiedliwe traktowanie nieszczęśliwego narodu, później niejednokrotnie zabierał głos, ale już energiczniej mówił i odsłaniał przed Europą dzikie rządy caratu, a na wieść o gwałcie dokonywanym na kapłanach, przemówił do całego świata w Collegium Urbanum Propagandy. Płomienną tę mowę, wygłosił w dniu św. Fidalisa d. 24 kwietnia.

„Sumienie mię nagli, abym podniósł głos przeciw potężnemu mocarzowi, którego kraje rozciągają się do bieguna. Słuchajcie: Oto ten monarcha potężny, który śmie także katolikiem się nazywać, chociaż stoi po za Kościołem naszym św., niepomny jest na sądy boże czekające go za zbrodnie. **Monarcha ten prześladuje z dzikiem okrucieństwem naród polski i podjął dzieło bezbożne wytępienia religji katolickiej w Polsce, a zaprowadzenia tam gwałtem schizmy.** Kapłani tego narodu katolickiego bywają gwałtem odrywani od swych owieczek, jedni wywiezieni na wygnanie, drudzy skazani na katorżne roboty, albo kary haniebne; szczęśliwi są jeszcze ci, którzy zdołali ujść i którzy teraz bez przytułku po obcych tułają się krajach".

* * *

Walka skończyła się klęską — ale moralnie zwyciężyliśmy. Rezultatem bowiem powstania było duchowe zjednoczenie się całej ojczyzny, wyrównanie wielu różnic społecznych, powołania do pracy narodowej najszerszych warstw. Wytrącono nam miecz — ale nie ma mocy, którąby nam krzyż, symbol wiary wydarła. Z tym krzyżem szli i idą w swej obronie nieszczęśni unici, dla tego krzyża ginęli Krożanie. Dziś najskuteczniejszą naszą bronią jest głęboka, silna wiara w odwieczną sprawiedliwość Bożą, najsilniejszą zaś twierdzą kościół. To przywiązanie do wiary ojców uchroni nas od zwątpienia, doda siły do zniesienia prześladowań i gwałtów, pozwoli wzmocnić się wewnętrznie i czekać co przyniosą losy.

O. B.

Z powrotem.

(Wspomnienie z lat dziecięcych).

Wszyscy mieszkańcy małego domku na przedmieściu znali doskonale starą Józefowę, wdowę po szewcu, zmarłym w szpitalu. Aby zarobić po stracie męża cokolwiek na utrzymanie, trzymała biednych jak ona studentów a stancji i prócz tego prowadziła kuchnię, gotując strawę dla biedaków, którzy za parę centów w południe lub wieczorem głód swój u niej zaspakajali. Zdarzyło się nieraz — bo różnie bywa na bożym świecie, — że i mieszkańcy domu, a raczej kilku domów około wielkiego podwórza, zasilali żołądki swe przyprawami kulinarnej sztuki pani Józefowej, łatwo więc z ozumieć, że była ona wcale popularną w tem światku osobą.

Nic dziwnego, że i my dzieciaki, wieczorem zwłaszcza, zaglądaliśmy czasami do jadłodajni Józefowej, a poczciwa stara, gdy miała mniej roboty, gawędziła z nami o tem i owem, choć częściej bywaliśmy milczącymi tylko świadkami żalów i wywnętrzeń Józefowej przed sąsiadkami na to, że musi biedaczka sama jedna, bez wyręki na stare lata pracować. Gdy się tak stara rozgadała, zawsze potrącić musiała o powstanie z r. 1863, które jej wyrwało syna jedynaka, tęgiego chłopaka, już czeladnika szewskiego, który ojcu a jej nieboszczykowi mężowi w rzemiośle pomagał.

— Moja pani — wzdychając mówiła do sąsiadek — gdyby mój Michał nie był się dał zwerbować do tego nieszczęsnego powstania, nie byłabym ja dziś psu drogi pokazała — a tak co? — I lamentowi takiemu towarzyszył ruch ręką ku oczom, jakby ocierała łzę, cisnącą się z pod powiek.

— Pamiętam jak dziś — mówiła — jak wyszedł z domu jednego wieczora i nie wrócił więcej. Na drugi dzień, przyniósł mi jakiś chłopak karteczkę od Michała. Pisał tam: „Daruj mi droga matko i drogi ojcze, że bez waszego błogosławieństwa poszedłem tam, gdzie mnie ojczyzna wola, ale niechciałem wam zrobić zgryzoty, boć wiem, żebyście mnie nie puścili".

— Poco to jemu było — droga pani? — Albośmy go tu w domu nie pieścieli, nie dawali wygody, boć to jedynak. Ot! nieszczęście. I Bóg jeden wie, gdzie się tam jego kości walają po świecie.

Strumień łez przerywał dalsze słowa starej; sąsiadki smutno kiwały głowami, a my malcy nie zdając sobie jeszcze sprawy ani z boleści starej Józefowej, ani z ogromu poświęcenia jej syna Michała, patrzyliśmy i słuchli ciekawie tego wszystkiego. O ile jednak pomnę, nie mogliśmy — zwłaszcza ja — zauważyć, aby serce Józefowej na wspomnienie poświęcenia się jej syna dla ojczyzny, żywiej biło. Nie mogłem nawet, o ile mój młodociany umysł mógł pojąć, odczuć jakiejś sympatji staruszki dla sprawy narodowej, dla której syn jej życie poświęcił. Przeciwnie w narzekaniach jej przebijała się jakaś tajona nienawiść dla sprawy powstania, które ją syna, podpory jej starości pozbawiło i prawdopodobnie przedwczesnej śmierci męża stało się przyczyną. Cierpkie nawet nieraz słyszałem słowa, że to panowie temu winni, że bankietowali i bawili się, a biedaków dla swoich celów na niechybną śmierć od kul moskiewskich wysyłali.

Jak się w późniejszem życiu przekonałem, stara Józefowa nie była pod tym względem oderwaną jednostką; było takich więcej, ba! — o wiele oświeceńszych od staruszki, której wychowanie i ciasne pojęcia o wolności ojczyzny, zdania zdrowego urobić nie mogły.

Mijały miesiące wśród tych narzekań, minęło długich lat dwa, czy trzy nawet. Józefowa straciła zupełną nadzieję w odzyskanie syna. Nie pomogły błagania Boga po odpustach w Milatynie, Hodowicach i Kalwarji, dokąd się Józefowa rokrocznie na intencję syna udawała; nie pomogły dawania na mszę z odkładanego na bok krwawego grosza. Wieści o synie nie było żadnej. Wiedziała jedynie, że pod Radziwiłłowem, dokąd się Michał prawdopodobnie udał, padła naszych moc, żaden jednak z rozbitków powstania, których dość było we Lwowie, a których skrzętnie wypytywała, nie mógł dać starej Józefowej znaku żadnego nawet lub wskazówki, co się z Michałem stało.

Staruszka zamknęła swą boleść na dnie serca; pracowała z jedną najętą dziewką od świtu do nocy, mniej wspominała o synie i tylko za jego duszę każdej środy i piątku świeciła lampkę łojową przed obrazem milatyńskiego Jezusa, dla którego ze szczególnem była nabożeństwem. I jeszcze jedno. Gdy nadszedł dzień zaduszny, Józefowa nalewała łojem tuzin lampek, szła z dziewką na cmentarz i tam oświetliwszy samotny jakiś grób, na którym nie było ani krzyżyka ani blachy z napisem, modliła się długo na mogiłce za duszę swego jedynaka Michała, poczem z oczyma łez pełnemi szła do domu — do swej ciężkiej pracy.

Od upadku powstania upłynęło długich lat sześć, — sześć wieków dla pochylającej się czemraz więcej pod ciężarem pracy Józefowej. Niedomagała biedaczka coraz więcej i trapiła ją myśl, co się stanie, gdy ją siły opuszczą i do łóżka trzeba się będzie położyć. Aż tu pewnego ranka, gdy trzeba było wstać do zwykłej pracy codziennej, Józefowa mimo wysiłku nie mogła się podnieść z łóżka. Opanowała ją niemoc, łamanie w kościach, zawrót głowy, słowem choroba, wymagająca opieki i pielęgnacji.

Na przedmieściu jak na wsi, więcej jeszcze znajdzie serca i współczucia dla ludzkiej biedy, niż w złoconych salonach; znalazły się też sąsiadki, które zajęły się chwilowo gospodarstwem Józefowej, zanim się będzie mogła podnieść z łoża boleści. Za to wieczorem po skończonej robocie, otaczały kręgiem łóżko staruszki, wynagradzając sobie gawędą trud codzienny przy szklance herbatki z arakiem...

Pewnego razu, a było to w zimie, jak zwykle, grono kobiet z małego domu siedziało przy łożu Józefowej; my mali staliśmy w nogach łóżka i popierawszy się o poręcz jego, z rozdziawionemi usty słuchaliśmy opowiadań starszych. Józefowa miała się nieco lepiej, pocieszano ją więc nadzieją, że niedługo będzie się mogła znowu zająć swą kuchnią.

Na dworze wicher miotał śniegiem, dobrze nam więc było w ciepłej izbie, w której przez dzień cały ogień pod kuchnią nie wygasał.

Wtem otwierają się drzwi, staje w nich jakaś wysoka postać mężczyzny, sążnista, z brodą okazałą i wąsami. Oczy wszystkich zwróciły się nagle na przybysza, który stanąwszy u progu, przywitał zebranych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

— Na wieki wieków — odpowiedziano mu chórem. Po tych słowach zapanowało milczenie. My dzieci w obawie wcisnęliśmy się w kąt łóżka, postać bowiem przybyłego napawała nas strachem; nigdyśmy przedtem nikogo podobnego nie widzieli. Odziany był w burkę z grubego brązowego sukna, przepasany pasem i z torebką przez plecy przewieszoną.

Przybyły chwilę wodził oczyma po obecnych, jakby nikogo nie poznawał, nie znał też nikogo — i nieśmiałym, a grubym głosem zapytał: — Czy tu przypadkiem nie mieszka pani Józefowa R.

Na to zapytanie podniosła się chora na poduszkach i zwróciwszy się do pytającego, cicho wyszeptała:

— To ja — a czego pan sobie życzy?

Oko przybysza zajaśniało nagle blaskiem; postąpił szybko i padłszy na kolana przed łóżkiem, chwycił staruszkę za rękę wychudłą, okrył ją pocałunkami i zawołał:

— Nie poznajesz mnie matko?! To ja, twój Michał!

Stara Józefowa wpatrywała się długo w klęczącą u jej stóp postać mężczyzny; nie mogła go poznać odrazu, bo był młodym, gołowąsym wyrostkiem, gdy poszedł do powstania, ale gdy sobie uprzytomniła jego rysy, gdy odgadła i przeczuła raczej serdeczną w jego głosie nutę, rozpłakała się z radości i nie było końca uściskom i pieszczotom dla syna, tyle lat niewidzianego.

Słuchaliśmy tego wieczora rzeczy ciekawych i nigdy niezapomnianych. Była to dla mnie pierwsza kronika — żywa — męczenników, zesłanych po daremnej walce o wolność w stepy Sybiru, skąd niewielu tak jak Michał wróciło, a więcej ich jeszcze nagiemi szkieletami wołało i woła do niebios słowami pomsty: *Exoriare aliquis ex ossibus nostris ultor!*

Adam Krajewski.

Na ławie szkolnej.

(Wspomnienie z lat 1863—4).

Wybuch powstania styczniowego zastał mnie 10-letnim „parwistą" (I. klasa) gimnazjum samborskiego. Mimo tak młodziuchnego wieku, bardzo żywo interesowaliśmy się wszyscy wypadkami w Królestwie i w czasie przerw pomiędzy godzinami lekcyj szkolnych każdy komunikował na ucho swemu sąsiadowi wiadomości, w domu zasłyszane. Dziwna gorączka trzymała bowiem na uwięzi umysł nietylko mężczyzn, ale nawet kobiet, nawet dzieci. Ogólny nastrój patrjotyczny — mówię specjalnie o Samborze, gdyż pragnę odświeżyć wspomnienia własne z owego czasu — podniecały jeszcze kazania, wygłaszane w kościele oo. Bernardynów i w t. z. farze. Tam porywał słuchaczy jakiś stary zakonnik, którego nazwiska nie pamiętam; tutaj ks. Pelczar, młody podówczas wikary, dziś kanonik kapituły krakowskiej, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i autor wielu cennych dzieł religijno-moralnej treści. Jakby to ledwo minionej było niedzieli, tak żywo pamiętam dzisiaj owo szlochanie serdeczne tłumów, kiedy na ambonie złotousty kaznodzieja opowiadał pełne okrucieństw i grozy epizody strasznego ucisku moskiewskiego w Warszawie i na Litwie. Pod wpływem takich kazań, pod wpływem dobroczynnym kobiet-patrjotek w domu, paliły się głowy, wrzały serca nienawiścią do ciemięzcy i pragnieniem zemsty. I naturalnem zupełnie było następstwem, że młodzież rzucała szkolne ławy i śpieszyła na plac boju. Każdego też dnia opowiadano sobie w niższych klasach z miną tajemniczą, że tylu a tylu studentów z wyższego gimnazjum zniknęło z miasta. Poszli do powstania... Bywali pomiędzy nimi także Rusini, choć ci — konstatuję to z żalem — zachowywali się ogółem nietylko niechętnie, ale nawet wprost prowokacyjnie wobec kolegów polskich. Wielu z nich poprzebierało się w szerokie hajdawery kozackie, w takież czapki z niebieskiemi denkami i złośliwemi drwinami wyszydzało zapał polski. Przychodziło też dość często do bitki pomiędzy studentami obu narodowości, — wszelakoż powtarzam — zdarzało się także, że ten i ów z owych „twardych Rusynów" ni stąd ni zowąd drapnął potem do powstania. Było takich — o ile sobie przypominam — ze 4. w samym Samborze.

Jako ilustrację powszechnego usposobienia przytaczam następujący fakt: Pewnego poranku, w maju lub czerwcu, kiedy rozpaczliwa walka za kordonem wrzała już z całą zażartością, zgłosiło się dwóch 10-letnich parwistów (jednym z nich byłem ja, drugim kolega Włodzimierz J. obecnie naczelnik sądu w jednem z powiatowych miast wschodniej Galicji) do sp. Hilda, zamożnego obywatela samborskiego, który miał w swej realności, na przedmieściu tz. Biskowickiem skład burek powstańczych, butów, broni itd. Mężczyzna już starszy, przykuty do pokoju ślepotą, uchodził wśród młodzieży szkolnej za groźną osobistość, a taką opinję stąd zapewne sobie pozyskał, że skutkiem swego kalectwa był człek opryskliwy i zgryźliwy. Zastaliśmy go w dużym pokoju, zawalonym rozmaitą odzieżą. „Czego tu chcecie?" — przywitał nas tonem dość nieprzyjaznym. — „Chcielibyśmy proszę pana pójść do powstania..." — „Hm!... Do powstania? A cóż wy za jedni?" — zagadnął nieco łagodniej. — Wymieniliśmy po kolei nazwiska nasze. — „A wieleż lat macie?" — Odpowiedzieliśmy, że po dziesięć. — „Po dziesięć? A to zabawne! Toż ja dla was, moje dzieci nawet butów nie znajdę w całym magazynie! Wracajcie do szkoły. Jeszcze nie przyszła na was kolej bić się z Moskalem... Uczcie się i pracujcie pilnie, to także zasłużycie się Ojczyźnie! Bądźcie zdrowi chłopcy..." Odwrócił się od nas, być może, aby łzę otrzeć, która wybiegła mu z pod powiek. Zdarzenie powyższe przytaczam, gdyż ono świadczy nader wymownie, jaki duch panował w r. 1863 nawet wśród szkolnej dziatwy w kraju naszym.

Dyrektorem gimnazjum samborskiego był w tych czasach początkowo ś. p. ksiądz Polański, acz Rusin z rodu, gorący jednak zwolennik sprawy polskiej, pedagog wysoce inteligentny i zdolny, prawdziwy ojciec młodzieży, która go ubóstwiała. O ile pozwalało mu na to jego stanowisko urzędowe, zamykał oczy na patrjotyczne roboty w szkole i po za szkołą. Lecz zmieniło się wszystko, gdy z półroczem jesiennem 1863/4 roku zabrano go z Sambora, a jego następcą został niejaki K. Nazwiska tego pana nie wymieniam, gdyż smutna reputacja, jaką sobie wyrobił służalczem postępowaniem swojem wobec rządu i dziwnie zajadłem prześladowaniem młodzieży za każdy jej objaw patrjotyzmu, niesłusznie spadłaby teraz rozpalonym ołowiem na nazwisko i serca jego potomków... Był też znienawidzony przez młodzież, która „kocią muzyką", tłuczeniem szyb w jego mieszkaniu, a nawet kilkakrotnem wypoliczkowaniem głupiego serwilisty, w klasie, w czasie lekcji, aż nadto chyba objawiała dlań swoją pogardę... Pomiędzy innemi jego rozporządzeniami było np. takie: Gdy zaprowadzono w Galicji stan oblężenia, najpierwszą personą w Samborze był, rzecz prosta, komendant placu, c. k. major, a po nim zaraz c. k. starosta, względnie naczelnik powiatu dawnego. Otóż p. dyrektor nakazywał studentom przy każdej okazji jak najsurowiej, aby przed obu tymi dygnitarzami czapki zdejmowali. Nieposłusznym groził chłostą cielesną, a nawet... wygnaniem ze szkoły. Wygnać, nie wygnał za to nikogo, bo i nie mógł, ale o chłostach w kancelarji dyrekcyjnej mógłby niejedno opowiedzieć, gdyby żył jeszcze, tercjan Sebastjan, który ze dwa pokolenia młodzieży widział w poklasztornym budynku gimnazjum samborskiego. P. dyrektor chodził zawsze w mundurze, w czapce z bączkiem, w wysokich „fatermerderach" i nawet zewnętrznym wyglądem swoim przypominał haniebnej pamięci działaczy austrjackich z r. 1846... Na szczęście dla ówczesnego nauczycielstwa, takich niegodziwców nie było więcej wśród niego w kraju całym. *Sit ei terra levis.*. gdyż umarł już od dawna, wyawansowawszy przedtem, jak to mówią, z pieca na łeb. Z dyrektora poszedł za rządów śp. Gołuchowskiego na posadę nauczyciela, jako klasyczny dowód... niewdzięczności zmiennych w Austrji rządów.

Stanisław W.

Przed jutrem.

Obóz spoczywał snem otulony. Niewielka leśna polana zatłoczona była śpiącymi ludźmi. Wzdłuż wyciągniętych linij ustawionej w kozły broni, leżały na ziemi długie szeregi nieruchomych postaci. Forsowne marsze w dniach ostatnich i kilkogodzinna, nierozstrzygnięta, zmrokiem dopiero przerwana bitwa, wyczerpały i zmorzyły wszystkich.

Ledwie że uporano się pospiesznie z rannymi i poległymi, ledwie że uformowano oddział i pozwolono spocząć, każdy rzucił się gdzie stał na ziemię i usnął natychmiast Nikt nie wątpił, że o świcie krwawy bój się ponowi i nikt nie mógł być pewny czy z życiem wyjdzie

---

a jednak była to broń wyborowa w porównaniu z uzbrojeniem strzelców lub kawalerji.

Od służby obozowej zostali Żuawi zwolnieni rozkazem dziennym pułkownika Kurowskiego.

W drugim tygodniu pobytu w Ojcowie, dostarczono z Krakowa pełną furę czerwonych fezów, w które przystrojono cały oddział Żuawów, nadając mu przynajmniej częściową jednolitość.

W niedzielę 14. lutego wystąpił oddział na łąkę, gdzie ustawiono polowy ołtarz, a kapelan oddziału ks. Kamiński odczytał mszę św. i dokonawszy poświęcenia sztandaru Żuawów — na czarnem polu po obu stronach biały krzyż — odebrał od nas przysięgę służbową a oprócz tego osobną: że nie będziemy przyjmować od wroga pardonu ani go dawać.

W poniedziałek 15. lutego zapanował niezwykły ruch w obozie. Szefowie oddziałów odbyli ścisły przegląd swych żołnierzy, ich umundurowania i uzbrojenia. Kilkanaście zarekwirowanych podwód wyładowano artykułami żywności, przekuwano konie kawalerzyckie i ze zdwojoną energją ćwiczono nas w obrotach i strzelaniu.

Około południa dostrzegliśmy maszerujący szosą krakowską patrol strzelców austrjackich, złożony z czterech żołnierzy i sierżanta. Wysłani poprzedniego dnia przez swoją komendę na nocną służbę po przyległych do Krakowa siołach, przeszli z całym rynsztunkiem granicę i oddali się na usługi Kurowskiemu.

Wszyscy pięciu zostali przydzieleni do oddziału Żuawów — między nimi był tylko jeden Polak, Lewandowski — czterej inni rodowici Włosi, nieumiejący ani słowa po polsku..

Cały dzień i cała noc przeszły na tych przygotowaniach, które zauważyliśmy już wczesnym rankiem, nie wiedząc o co właściwie chodzi i na co się zanosi.

We wtorek 16. lutego odgotowano wcześniej jak zwykle i przed godziną 12. wyruszył cały oddział drogą do Skały, zostawiwszy w Ojcowie chorych i kilkunastu ludzi dla strzeżenia niewypróżnionych jeszcze całkowicie magazynów.

W Skale zatrzymaliśmy się do zmroku. Tam rozdano nam amunicję, a składała się ona z garści prochu, który pozawijaliśmy w końce chustek, z dwóch pełnych garści siekanego na prędce ołowiu i z szczypty kapsli. Tak uzbrojeni ruszyliśmy pochodem na zdobycie Miechowa, obsadzonego przez dwie roty strzelców finlandzkich, najlepszego żołnierza rosyjskiego i przez sotnię kozaków.

Późną nocą przystanął oddział w lesie za wsią Czaplą, gdzie odgotowano na prędce, rozdzielono do manierek okowitę i po stosownej przemowie Kurowskiego, zagrzewającej nas do męstwa, ruszono zmienionym szykiem w dalszą drogę.

Żuawi, którzy w dotychczasowym marszu tworzyli tylną straż, zostali teraz wysunięci na czoło i otwierali pochód oddziału.

Opuściwszy las, równo z brzaskiem weszliśmy na obszerne pola, na których rozsiadły się w pewnych odstępach liczne sioła, zabudowane dostatnio i odznaczające się zamożnością gospodarzy.

W oddaleniu widniała przez zalegające jeszcze mgły wysoka wieża jakiegoś kościoła... to Miechów, cel naszej wyprawy.

Rochebrun sprawił swoich Żuawów w szyk bojowy i już ani na chwilę nas nie odstępował, drepcząc obok prawego skrzydła na maleńkiej niepozornej szkapie. Zwolna rozeszły się mgły i wtenczas dostrzegliśmy uwijających się po polu kozaków.

Na nasz widok dali kilka strzałów w powietrze i wyciągniętym galopem zawrócili do miasta.

Wolnym marszem posuwali się Żuawi, rozrzuceni w linję tyralierską, wyprzedzając o jakie tysiąc kroków resztę oddziału, któremu teraz kosynierzy z kapitanem Ruczką na czele służyli za tylną straż.

Podeszliśmy już pod miasto, otoczone z tej strony dość wysokim okopem, utworzonym przez naturę. Na całej linji cicho i spokojnie, jak gdyby tam, przed nami, rozciągało się królestwo umarłych — żadnego ruchu, żadnego znaku życia, tylko stada wron przelatywały tam i napowrót z piekielnem swem krakaniem... węszyły ucztę.

Pod samym okopem przystanęliśmy — Rochebrune ściągnął szeroki dotychczas łańcuch tyraljerski i ustawił oddział w linję bojową, wstrzymując się z przekroczeniem wyniosłości aż do nadejścia całego oddziału.

Gdy Kurowski zbliżył się na jakie 300 kroków, pchnął Rochebrune czterech swoich żołnierzy na grzbiet wału dla rozejrzenia się w sytuacji, ale gorąca krew przemogła w nim względy osobistego bezpieczeństwa i zlazłszy z konia, podbiegł za nimi. Nie dostrzegli widać nic podejrzanego, bo zaledwie Rochebrune znalazł się na górze, zakomenderował: — *Zuaves! per gimnastic enevants!*

Muszę zauważyć, że oddział nasz miał francuską komendę, ze względu na dowódzcę, który nic zgoła nie umiał po polsku.

Na tę komendę poskoczyli chłopcy biegiem po pochyłości okopu, a równocześnie spuścił się z niego Rochebrune na tamtą stronę w dół.

Jeszcześmy nie stanęli pewną nogą na okopie, gdy z umieszczonego tuż za okopem cmentarza posypał się na nas grad kul, dziesiątkując odrazu nasz oddział.

Moskale przyczajeni w pojedynkę za nagrobkami, drzewami i mogiłami, przetrzymali w spokoju zjawienie się Rochebruna z czterema naszymi, czekając z salwą na pojawienie się luźniejszych sił.

Nastąpiła druga salwa i znów kilkunastu Żuawów stoczyło się do rowu. Nie upłynęły dwie minuty, a została zaledwie połowa z oddziału, liczącego przed chwilą 160 wyborowej młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej.

Reszta pozostałych rzuciła się bez zastanowienia na następstwa w środek cmentarza i tutaj rozgrywały się sceny, graniczące wprost z nieprawdopodobieństwem. Chłopcy wpadli między groby i rozpoczęła się w pojedynkę bójka na pięście i kolby między nami a saldatami. Strzelcy Niewiadomskiego połączyli się już z nami i ostrzeliwając wymykających się ku miastu Moskali, pomogli nam oczyścić cmentarz z nieprzyjaciela. Kurowski uszykował coprędzej oddział w czwórki i wysunąwszy niedobitki Żuawów na czoło, rozpoczął marsz wąską ulicą, wiodącą od cmentarza ku rynkowi. Rochebrune rzucał się jak szalony na takie zarządzenie, wykrzykiwał i groził zaciśniętą pięścią za wycofującym się ku cmentarzowi Kurowskim, ale jako stary żołnierz spełnił wydany rozkaz i stanął tuż obok pierwszej czwórki.

Biegiem wzięliśmy ulicę, lecz gdy pierwsza czwórka zjawiła się na wylocie do rynku, zagrzmiała salwa ustawionej tam piechoty rosyjskiej i kilkanaście trupów potoczyło się po bruku. Zaraz potem nastąpiła druga salwa i nieunikniony nasz odwrót w popłochu. Teraz dopiero rozpoczęło się formalne polowanie na cofający się oddział.

Moskale ustawiwszy jedną rotę swoich strzelców w rynku, obsadzili drugą rotą wszystkie domy wzdłuż ulicy, którą oddział nasz przechodził w miasto. Z każdego okna, z dymników, nawet z dzwonnicy kościelnej prażyli nas strzelcy finlandzcy, waląc jak do kaczek na bagnisku, sami bezpieczni pod osłoną ukrywających ich ścian. Złamany na duchu, przerażony tak nagłą klęską i mnogością krwawych ofiar, wycofał się młody żołnierz bezradny i zdemoralizowany.

Kurowski stał ze swoim sztabem zdala od placu boju, po za miastem, gdzie wyczekiwał na wynik zarządzonego ataku.

Otrzymawszy szczegółowy raport o przebiegu nie bitwy ale formalnej rzezi (boć trudno nazwać bitwą rozprawę, gdzie jedna ze stron walczących, a w tym wypadku oddział powstańczy, nie przyszła do możności prawidłowej palby), pchnął coprędzej jednego z licznych swych adjutantów do wyczekującego na rozkazy Ludwika Mięty, dowodzącego kawalerją i polecił mu wykonać szarzę na uszykowaną w rynku moskiewską kolumnę.

— Jakto? wąską ulicą mam wykonać atak na uformowaną piechotę? ależ to szaleństwo! — zauważył Mięta.

— Jesteś pan tchórzem! — rzucił Kurowski w uniesieniu.

— Kto? Ja tchórz?

Z temi słowy spiął Mięta konia, szalonym

z tego boju, lecz nie zastanawiano się o tem... Znużenie, śmiertelne, ciężkie jak ołów, ogarnęło wszystkich. Nawet sztab usnął po krótkiej naradzie nad planem jutrzejszego działania. Czuwali tylko ci, co musieli: oficer dyżurny, trzech poficerów z pogotowia, i placówki, rozstawione na skraju lasu, na jakich sto kroków przed oddziałem.

Po gwiaździstem, bez chmurki niebie, płynął srebrny księżyc i kąpał w swych blaskach uśpione postacie, ślizgając się równocześnie tajemniczo po lśniących bagnetach i szerokich ostrzach kos. Na lewem skrzydle oddziału, gdzie polanka wąską gardzielą wydzierała się ku polom, odzywało się czasami prychanie koni kawalerzyckich. Młode brzozy otaczające polankę szumiały lekko pod cieplem tchnieniem majowej nocy, a opodal, w wiklinie zarastającej brzegi leśnego strumyka, śpiewały słodką pieśń miłosną słowiki.

Na placówce najbardziej naprzód wysuniętej, na samym cyplu lasu tuż obok opustoszałej chaty gajowego, stał młody mężczyzna z dubeltówką w ręku. Plecyma oparł się o pień grubego drzewa, a oczy wytężył przed siebie, jakby pragnąc przeniknąć szary, bo światłem księżycowem przepojony mrok nocny.

Daleko przed nim majaczył ciemny rąbek wiejskich zabudowań i błyskało kilka niewyraźnych światełek. Tam był nieprzyjaciel...

— Te światełka, to na plebanji i we dworze — myślał mężczyzna — tam zakwaterowała się pewno starzyzna..

On znał dobrze całą okolicę, to były jego rodzinne strony... W tej zaś wiosce, tam na prawo, na samym końcu, w leśniczówce pod drugim lasem, sam mieszkał do niedawna. Gdy wyszedł, zostawił tam żonę i synka, niemowlę przy piersi. Ileż razy w ciągu tych kilku miesięcy marzył o tem, aby ich znowu zobaczyć, choć raz jeszcze, choćby na krótką chwilę. I dziś rano istotnie, widział ich. Przechodząc przez wieś z oddziałem, widział ich nawet zamienił w przelocie kilka słów z żoną; zatrzymać się jednak nie mógł, nie wolno było występować z szeregów, zresztą, nieprzyjaciel również nadciągał.

Teraz, stojąc na placówce, ciągle myślał o swoich. Co oni tam robią, czy nie grozi im jakie niebezpieczeństwo?

Znużony był, ale i podniecony jakoś dziwnie zarazem. Cicha, spokojna noc majowa, przywodziła mu inne czasy na pamięć, więc bezwiednie tonął w tych wspomnieniach.

W wiklinie kwiliły i tiochkały słowiki, zdawało się, że cały las brzmi ich słodką pieśnią, oddycha rozkoszą. Wiotkie brzozy pochylały się z lubością ku sobie, obejmowały gałązkami i szemrały cicho, łagodnie. Pierzaste paprocie błyszczały od rosy, w całej przyrodzie panował spokój pełen cichego szczęścia; ktoś, nieświadomy stosunków, zbliżywszy się do lasu, nie byłby się nawet domyślił, że kilka setek ludzi dysze pod jego osłoną, odpoczywa, ażeby nabrać sił do dalszej, krwawej rozprawy.

Były jednak chwile, w których milkły słowiki, a drzewa przestawały szemrać.

Z wnętrza chaty gajowego, dobywały się od czasu do czasu przytłumione, lecz przejmujące swym rozpaczliwym tonem jęki. Złożono tam trzech ciężko rannych, których przewieźć w bezpieczniejsze miejsce nie było sposobu, a o których lekarz zawyrokował, że „i tak nie doczekają rana"... Jednego z nich ugodził odłam granatu w brzuch i ten męczył się najwięcej. Przychodząc chwilami do siebie z omdlenia, wołał rozdzierającym głosem tylko jedno słowo:

— Boże, Boże, Boże!

Inni dwaj charczeli już tyko ciężko.

Stojący na placówce mężczyzna wzdrygał się za każdym razem, gdy go jęk umierającego doleciał; potem spokój rozpościerał się znowu w powietrzu, las rozbrzmiewał cichym szmerem drzew i słowiczą pieśnią, a on wracał do swych dumań.

Nagle poruszył się niespokojnie. Wprawne ucho myśliwego rozróżniło jakiś podejrzany szelest w polu przed lasem, zanim jeszcze wzrok zdołał przedrzeć mglistą oponę mroku.

Wyprostował się, odwiódł kurki i czekał z wytężonym przed siebie wzrokiem.

Dziwny szelest, jakby rozchylanej szybkim krokiem trawy, słychać było coraz wyraźniej, wreszcie jakaś ciemna, wysoka postać zamajaczyła śród cieni. Za chwilę zarysowała się wyraźniej, była to postać kobiety.

Oblana tajemniczem światłem księżycowem, zbliżała się szybko ku lasowi.

Była już o kilkanaście kroków, gdy rozległo się „Stój!" placówki.

— Swój, swój! — odpowiedziała postać, zbliżająca się jeszcze bardziej. — Ja do męża, jest tu w oddziele, muszę się z nim choćby na minutkę zobaczyć... Niech mi pan przejść pozwoli!...

W tej chwili mężczyzna broń do nogi upuścił.

— Zosiu, to ty! Na Boga, po coś tu przyszła!...

— Stachu! mój Stachu! — zawołała kobieta, rzucając się ku mówiącemu i obejmując go za szyję.

Krótko trwał uścisk. Mężczyzna wnet się opamiętał i odsunął żonę od siebie.

— Po coś tu przyszła? po coś przyszła? Ja jestem w służbie i nawet mi mówić do ciebie nie wolno, a tam, we wsi, gotowi spostrzedz twoją nieobecność i nieszczęście gotowe... Pomyśl o dziecku, naszym Bronku, kobieto!

Kobieta nie odstępowała od boku męża.

— Pozwól mi Stachu tylko chwilę tu zostać... — zaczęła mówić prędkim, gorączkowym szeptem. — Tam nikt się o niczem nie dowie, wszyscy śpią, wyrwałam się tyłem przez ogrody i zaraz wrócę. Musiałam przyjść... Takie straszne przeczucie cały dzień mnie dręczyło, a pod wieczór ramka u twej fotorafii co stoi na komodzie, pękła z trzaskiem bez najmniejszego powodu... Była bitwa, nie wiedziałam co się z tobą dzieie, czyś żywy jeszcze, musiałam przyjść... Chciałam się przynajmniej dowiedzieć o ciebie u znajomych... Wszak ich tyln w oddziele!... Jakie szczęście, że mię ręka boska wprost do ciebie zawiodła, a tyś zdrów i cały...

Mężczyzna nic nie mówił. ujął tylko żoniną rękę i trzymał ją w swojej, ściskając łagodnie.

Oczy jego nie odrywały się od pola: musiał przecież pełnić obowiązek, strażować...

Straszny jęk konającego nagle zakłócił ciszę.

— Boże! Boże! Boże!...

Kobieta drgnęła i silniej przytuliła się do męża.

— Cyt, cyt! — szepnął — to nic, gdzie drzewo rąbią, wióry lecieć muszą... Nie ten, to ów... ktoś zginąć musi!...

— Ach, jak ja się lękam tego jutra! — zaczęła znowu kobieta — jak się lękam! Mało dusza ze mnie nie wyjdzie!... Tam, we wsi, powiadają, że jutro znów będzie bitwa... Chwalą się, że was w puch rozbiją...

— Byliby to uczynili dziś, gdyby byli mogli. Nie bój się nic Zosiu... Ja mam nadzieję, że jutro będzie dla nas szczęśliwsze niż dzisiaj, a po bitwie, to już zobaczymy się napewne i nie tak, na chwilę...

— Daj Boże, daj Boże! — westchnęła kobieta.

Słowiki tymczasem rozśpiewały się znowu i wywodziły coraz głośniej swe trele, że aż dzwoniło od nich w lesie.

Teraz i kobieta zamilkła, a obojgu im było dziwnie słodko i dziwnie przykro zarazem. Coś ściskało ich piersi niby kleszczami.

— Czy pamiętasz, Stachu, przed rokiem? — ozwał się w końcu głos cichy. łzami nabrzmiały. — Tylko cośmy się pobrali... a w naszym ogrodzie tak samo śpiewały słowiki...

Znowu zapadło milczenie, tylko ich dłonie zespoliły się silniej.

— Idź już Zosiu — rzekł wreszcie mężczyzna — idź już koniecznie, ja służbę pełnić muszę, i nie chcę, aby tam odkryto, gdzie chodziłaś. Idź, dla dziecka, dla Bronka zrób to i idź zaraz... Ucałuj go odemnie, jntro przyjdę... Z pewnością zobaczymy się jutro.

Kobieta łkając padła mn w objęcia i usta ich złączyły się z sobą.

— Och, jak ja się lękam, Stachu, jak się lękam tego jutra!...

— Idź, idź! — powtarzał mężczyzna — ja wierzę, że się jutro zobaczymy!

Jeszcze jeden uścisk i kobieta słaniając się, zaczęła się pogrążać w srebrzystych mrokach.

— A nie zapomnij ucałować odemnie Bronka! — szepnął za nią mężczyzna.

— Bądź zdrów Stachu... Niech cię Bóg ochrania! — odpowiedziała mu z daleka. — Do widzenia, do jutra!...

Postać jej poczęła tracić wyrazistość kształtów, zacierać się, rozpływać... Zamajaczyła jeszcze raz, dwa razy na odległem wzgórzu i znikła.

Mężczyzna został sam i oparłszy się znowu o drzewo, wpatrywał się w przestrzeń. Była mglista, niezgłębiona, nieuchwytna — jak to jutro, którego oczekiwał.

Obóz spoczywał snem utulony. Od skraju polanki odzywało się prychanie koni, młode brzozy szemrały cicho pod cieplem tchnieniem wiosennej nocy, słowiki dzwoniły swą pieśń bez końca, w chacie gajowego coraz ciszej i ciszej rozlegał się jęk konającego, a nad całym lasem, nad całem tem zbiorowiskiem spoczywających ludzi, rozpościerała się w blaskach księżycowych drgająca jedna, wielka, tajemnicza, bezbrzeżna opona, zakrywająca zbliżające się — jutro...

Z drzewa na cyplu lasu, gdzie stała placówka, porwał się nagle, przez jakiegoś nocnego drapieżnika spłoszony duży ptak i bijąc ciężko skrzydłami o gałęzie, uciekał przed napaścią.

W chacie gajowego ozwał się jeszcze jeden jęk stłumiony i wszystko znowu zapadło w ciszę.

Słowiki tylko wydzwaniały coraz głośniej i głośniej swoją pieśń miłosną...

Isydor Kuncewicz.

* * *

Nastała znowu dziś rocznica święta
Tej chwili, gdyśmy z rękami skutemi
Padli — gdy mocniej wróg zacieśnił pęta,
Gdy nam się zdało, że już na tej ziemi
Godzina szczęścia dla nas nie wybije:
Ona nie wstanie już i nie odżyje!

Za nami drogi szlak pozostał łzawy,
Bo wróg nam dusze wyżerał i serca,
Na białym orle ślad widnieje krwawy,
Bo nowe męki wymyślił morderca!
I zdało nam się, że na modłów głosy
Od wrogów naszych nieczulsze niebiosy.

Aleśmy wszystko zwycięsko przetrwali
I choć w około nas burze i chmury
Okręt Ojczyzny wciąż buja na fali
Już biały orzeł szybuje do góry...
Nie będzie póty tej wędrówce końca,
Póki nie wzleci do wolności słońca!

Zdzisław K.

Z sejmu czeskiego.

Praga 19. stycznia.

(*S.*) Pisząc o sejmie czeskim nie można nie pisać o ulicy, skoro wczoraj udało się Wolfowi zapanować nad sejmem przez ulicę, wysunąć ulicę na plan pierwszy, skoro obrady sejmu z jej powodu, z przyczyny prostej bójki ulicznej, zostały przerwane. Bardzo słusznem było oburzenie objawione w sejmie przez dr. Herolda, tem słuszniejsze, iż Niemcy od czasu rozpoczęcia sejmu czaskiego bez przerwy prowokują Czechów, gdzie tylko mogą, systematycznie i z chytrem obliczeniem. Cóż innego bowiem, jak wyuzdaną prowokacją Czechów jest całe zachowanie się Wolfa i jego czynów w sejmie, jego sposób przemawiania, a nawet jego ciągłe przechadzki pod eskortą policyjną po ulicach Pragi, mianowicie chodzenia pieszo na posiedzenia sejmowe i z powrotem i sprawiające zawsze wielkie zbiegowiska ludzi. Z tego czerpie on następnie przedmiot do interpelacyj, do deklamowania, iż „niecny mob czeski chce go zabić i czyha na jego życie." Za przykładem Wolfa prawdopodobnie na jego rozkaz robią to sami „bursze" niemieccy „bummlami" w pełnym „wichsie" na najludniejszych ulicach, chociaż tem wywołali ostatnie tutejsze zaburzenia. Jest to fakt, stwierdzony przez samego namiestnika, a mimo to władza rządowa ze względu na Wolfa i posłów niemieckich nie ma odwagi do wystąpienia przeciwko burszom i zakazania im prowokacyj przybieranych w formę „bummla." Natomiast namiestnik w sejmie ogłasza uroczyście ich prawo do wyzywania całej tutejszej czeskiej ludności, chociaż ściśle rzecz biorąc zajścia takie uliczne, jak bójki, należą właściwie przed trybunał policji i sądu, nie zaś przed trybunał sejmu. Gwoli niemieckim ulicznym prowokacjom przerywa marszałek krajowy posiedzenie sejmu, a namiestnik składa się przed Wolfem jak scyzoryk. tłumacząc się jak student przed surowym profesorem, przyrzekający poprawę.

I poprawia się, bo dziś na „Przykopach" roją się z „Deutsches Haus" niemieccy „bursze" jak z mateczniku, w pełnym „wichsie", w „kapach", z „cerewizem" i całem szaleństwem burszowskiej gali. Trzydziestu w „kolorze", a za nimi „dreptaków" sto innych wyraja się na „Przykopy", ulicę główną, gdzie największy panuje ruch. Posłowie niemieccy ukazują się pomiędzy nimi. To dodaje młodym domonstrantom śmiałości, odwagi i zuchwałości. Za jakiś okrzyk czeski, częstuje jeden z „burszów" chłopca terminatorskiego policzkiem, za chłopcem ujmują się studenci czescy, a że Niemcy nie ustępują, przychodzi w końcu z tego powodu do bójki. Jeden z „burszów" otrzymuje silny policzek od jednego ze studentów czeskich, tak, że mu się krew puszcza z nosa, co wystarcza zupełnie Wolfowi, by w mgnieniu oka lecieć do sejmu, cały sejm alarmować, zerwać posiedzenie a namiestnikowi kazać, by się tłumaczył.

Jeśli wolno zamykać ulice przechodniom dla przeszkodzenia demonstracji lub zbiegowiska, dlaczegoż nie zamknie władza „Przykopów" dla burszowskiego „bummlu", który notorycznie drażni ludność stolicy czeskiej i już spowodował nawet strzały na ulicach i obfity przelew krwi ludzkiej?

Schlebia się widocznie Wolfowi *ad captandam* względów Jego Wilczej Mości. Czy to mądre i prowadzące do celu, a mianowicie do tego, jaki ma prezydent gabinetu Gautsch przed oczyma? Nie wiem. Wolf uważać będzie to prawdopodobnie za słabość, za niedołężność — będzie tylko utwierdzonym, że wszystko, co dotychczas robi, było dobrem, bo skutecznem dla sprawy zastępowanej przez siebie, a więc i łamanie pultów i bębnienie deskami, używanie najwyszukańszych wyrazów z śmietnika grubjaństwa i wszystkie środki w ogóle, jakimi się posługuje jego polityka łokciów. P. Gautsch może smutne doświadczenie zrobić na własnej osobie i zrobi je z pewnością, gdy tylko zwoła parlament, skoro już teraz w czeskiej sali sejmowej nie szczędzi mu Wolf epitetów, jak: „jezuita cywilny", „człowiek wyzuty z ..." itp., dających przedsmak tego, co dopiero nastąpi. Tymczasem „Przykopy" były dziś od rana istnem obozowiskiem wojskowem. Konne i piesze patrole przeciągały przez ulice miasta, oddział wojska nadto koczował przed „domem niemieckim", stanowiąc rezerwę dla uwijającej się policji, bardzo silnie wzmocnionej. Był to więc „bummel" nie tylko pod osłoną policji, ale też pod ochroną wojennej siły: piechoty i konnicy.

Oby tylko były z tego dobre owoce!

Z prowincji.

Brzeżany 17. stycznia. (*Epizod zatargu burmistrza z radą miejską i początkowe owoce nowej procedury cywilnej.*) Początek roku 1898 zapisał się nam bardzo ważnemi zdarzeniami. Zatarg burmistrza p. Hiolskiego z radą gminną doczekał się nareszcie po długiej walce naturalnego rozwiązania. Burmistrz p. Hiolski z początkiem nowego roku najpierw ustnie, a następnie pisemnie zgłosił swoją rezygnację z posady burmistrza. Nie zrezygnował atoli równocześnie z posady radnego, czem znów zbłądził. Ta okoliczność dała powód do rozmaitych przypuszczeń, a między innemi, że zamierza w najbliższym czasie o posadę burmistrza ponownie kandydować. Dnia 10. bm. odbyło się posiedzenie pełnej rady miasta, zwołane przez wiceburmistrza dra Zauderera, a na porządku dziennym była jedyna sprawa rezygnacji p. Hiolskiego z posady burmistrza.

Lotem błyskawicy rozeszła się ta wieść po całem mieście, a w dniu posiedzenia na godzinę przed rozpoczęciem była cała galerja sali po raz pierwsz wypełniona aż po brzegi doborową liczbą wyborców, ciekawych niezmiernie przebiegu posiedzenia.

Wnet zapełniła się sala radnymi. Na trybunie, na krześle prezydjalnem zasiadł wiceburmistrz dr. Zauderer — po prawej ręce miejscowy p. starosta, a po lewej ręce pierwszy asesor.

Dr. Zauderer otworzył posiedzenie i zaproponował, ażeby zaniechano odczytania protokołu z poprzedniego posiedzenia rady, które było burzliwe i z tego powodu zostało przerwane. Temu wnioskowi sprzeciwił się jeden z radnych, motywując, że wniosek ten sprzeciwia się regulaminowi, a nadto njaskrawia brak konsekwencji członków partji obstrukcyjnej. Przystąpiono tedy do odczytania protokołu z poprzedniego posiedzenia, z którego dowiedzieliśmy się o zapatrywaniu p. burmistrza Hiolskiego, że burmistrzem miasta Brzeżan może być także: „analfabeta"!! Niemożebne to do uwierzenia, a jednak prawdziwe! Odczytany protokół przyjęto do wiadomości. Następnie odczytano pisemną rezygnację p. burmistrza Hiolskiego.

Po krótkiej debacie przyjęto tę rezygnację, a dla dowodu ku wiecznej pamięci zarządzono imienne głosowanie. Na 32 głosujących oświadczyło się 25 radnych za przyjęciem rezygnacji.

Galerja, jak to powiedzieliśmy, była po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przez wyborców zapełniona. Z tej przyczyny jeden z radnych zabrawszy głos, wyraził zadowolenie z ich obecności i zaznaczył, że wyborcy widocznie sądzą, że ich działalność obywatelska polega jedynie na zgłoszeniu się do urny wyborczej, inaczej bowiem byłby ich obecność podczas posiedzeń rady częściej zauważył. Mowca wytknął wyborcom ich obojętność dla spraw miasta i wezwał ich, ażeby jawili się licznie na każdem posiedzeniu rady i w ten sposób kontrolowali czynności radnych i asesorów, ich zdolność oceniania, a ich ujemne strony na każdym kroku publicznie krytykowali, przez co wpłyną dodatnio na skuteczną działalność całej rady miasta.

Wygłoszenie tej mowy przyjęli wyborcy z zadowoleniem i zrozumieniem rzeczy, a spodziewać się należy, że na następnych posiedzeniach rady zjawią się wcale licznie dla przekonania się, czy i o ile stosunki w łonie rady i magistratu zmieniły się ku lepszemu.

Z tego całego zatargu nabyliśmy to doświadczenie i przekonanie, wyrażone nam niedawno, lecz niestety! zapóźno, przez jednego z bardzo poważnych burmistrzów miasta, że urzędnik nie będzie nigdy dobrym burmistrzem miasta, ponieważ nie potrafi otrząść się ze swej natury biurokratyzmu — nabytej w ciągu długoletniej swej służby — a wznieść się na stanowisko obywatela kraju. Dla niego starosta będzie zawsze jedynem bóstwem, któremu wszelkie ofiary, choćby przeciwne zasadom obywatelskim, składać należy!

O błogich owocach nowej procedury cywilnej przekonaliśmy się tutaj z następujących dwóch wypadków w sądzie powiatowym. Podajemy je do publicznej wiadomości w przypuszczeniu, że będą uaszych czytelników interesowały.

S p r a w a p i e r w s z a: Restaurator na mocy przedwstępnych ustnych układów, co do których pisemny kontrakt najmu miał być zawarty — zajął restaurację od dłuższego czasu — i nie chciał: ani czynszu najmu płacić, ani przystąpić do podpisania kontraktu, ani ustąpić z restauracji i drwił sobie z właściciela, wyzywając go nawet.

W tej sprawie udał się właściciel o pomoc do sędziego, radcy sądowego Komarnickiego, a ten w 30 minutach ku ogólnemu zdziwieniu całą tę sprawę merytorycznie załatwił w sposób następujący: oto przez woźnego sprowadził restauratora, wysłuchał obie strony, a przekonawszy się, że właściciel jest przez restauratora wyzyskany, wytłómaczył restauratorowi po obywatelsku, że krętactwo nie przyda się tu na nic i skłonił go do ugody, którą restaurator obowiązał się do sześciu dni pod rygorem egzekucji ustąpić z restauracji.

S p r a w a d r u g a: Śmiertelnie chory gospodarz na wsi chce z 23-letnią córką swą sporządzić dział posiadłości gruntowej. Chodzi tu o wypuszczenie tej małoletniej z pod władzy ojcowskiej, by mogła następnie, jako usamowolniona akt działu zeznać. Przychodzimy z tą sprawą o godzinie 11 w południe do radcy sądowego i przedstawiamy mu nagłość sprawy. Radca przywołuje sekretarza i poleca mu, ażeby o godzinie drugiej po południu udał się z pisarzem na wieś do tego gospodarza i tam, co potrzeba, komisjonalnie załatwił.

Odległość tej wsi od siedziby sądu wynosi jedną milę. O godzinie 5 po południu jawi się ów delegowany sekretarz sądowy z powrotem w sądzie i raportuje, że sprawę poruczoną mu uporządkował: córka została usamowolniona, a akt działu zeznany. Na drugi dzień ów gospodarz już umarł.

Strony w tych obu wypadkach są zadowolone, a tą szybkością i skutecznością procedury nawet oszołomione, dotąd bowiem nie miały wypadku, ażeby procedura sądowa, jakoby maszyna parowa, tak szybko działała.

Podajemy te dwa fakta do publicznej wiadomości dla przekonania wszystkich niedowiarków, że przy sprężystości, a dobrej woli sędziego, nowa procedura cywilna doścignie nawet areonautyki, a ekonomiczne stosunki kraju poprawi nader szybko.

Atoli o jedno tylko wołać nie przestaniemy!... dajcie nam do tego ludzi z poczuciem obywatelskiem, doświadczonych i energicznych, a znających dobrze stosunki kraju. Nie żałujmy pieniędzy na polepszenie płac urzędników, co w trójnasób nam się opłaci. Pamiętajmy na przysłowie, że: „skąpy dwa razy traci" i strzeżmy się, by to przysłowie na naszem społeczeństwie nie sprawdziło się. Jesteśmy przekonani, że gdy nową procedurę należycie sprawować będziemy, to publiczność w krótkim czasie umoralni się, a zapadłe wyroki będą białymi krukami. Agenda spraw procesowych u adwokatów w pierwszym roku wzmoże się bardzo znacznie, atoli tylko na to, ażeby następnie spaść do minimum. *Numerus clausus* u adwokatów, który do niedawna był bezcelowym, jest obecnie dla nich kwestją żywotną. Musimy co rychlej postarać się o zaprowadzenie tego *numerus clausus*, atoli równocześnie postarać się o to u p. ministra sprawiedliwości, ażeby ułatwił przejście adwokatom do służby sądowej. Niebawem okaże się potrzeba wysłania w stan spoczynku pewnej liczby urzędników sądowych, których w interesie ogółu osobami ze stanu adwokackiego i notarjalnego, jako ze stosunkami kraju obznajomionemi, zastąpionymi mieć chcemy.

SEJM.

(*9 posiedzenie 3 sesji VII. kadencji*).

Lwów 21 stycznia.

Posiedzenie dzisiejsze rozpoczęło się o godzinie 10 m. 45 występem gościnnym gasp. Okuniewskago. Przed przystąpieniem do porządku dziennego zabrał on głos i „interpelował" marszałka krajowego, dlaczego wybory pp. Nowakowskiego i d'Abancourta nie zostały dotychczas sprawdzone, pomimo że on. (poseł Okuniewski) tego się domagał?

Marszałek przedewszystkiem pouczył p. Okuniewskiego, jak stawia się interpelacje do marszałka krajowego. Interpelacja taka powinna być wniesioną na piśmie i zaopatrzoną piętnastoma podpisami. Przemówienia więc posła kołomyjskiego nie może uważać za interpelację, ale traktuje je jako zapytanie. Zadawalając ciekawość p. O. oświadczył, że odnośne akty nie zostały jeszcze przez rząd nadesłane; skoro się to stanie, sprawa szybko załatwioną będzie.

P. O k u n i e w s k i: Proszu o hołos!

M a r s z a ł e k: Nad tem niema dyskusji.

P. O k n n i e w s k i: Sprostowanie!

M a r s z a ł e k: Na końcu posiedzenia.

P. Okuniewski usiłuje jeszcze coś przemówić, ale wreszcie rozmyśla się i daje pokój.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego, motywował p. Żardecki wniosek naglący o pomoc dla gminy Żuklina. Wniosek odesłano do komisji budżetowej z poleceniem zdania sprawy ustnie na jednem z najbliższych posiedzeń.

Przystąpiono do porządku dziennego.

P. St. J ę d r z e j o w i c z zaznaczywszy, że utworzony przez sejm drogowy fundusz pożyczkowy w sumie 300.000 zł. nie wystarcza ani w części do zaspokojenia tych potrzeb, które przy wzmagającym się ruchu budowlanym powiaty zgłosiły i że preliminowany kredyt w rubr. X. na zasiłki dla dróg powiatowych i gminnych okaże się już w bieżącym roku za szczupły wobec §. 28. nowej ustawy drogowej, postawił wniosek domagający się, aby fundusz pożyczkowy drogowy został w przeciągu lat dziesięciu podwyższony z 300.000 na 500.000 zł. i ażeby fundusz bezzwrotnych zasiłków zwiększony został na r. 1898 o 50.000 zł.

Wniosek odesłano do komisji budżetowej.

Z kolei w myśl wniosku komisji administracyjnej uchwalono projekt ustawy, zmieniającej niektóre postanowienia ustawy budowniczej z 4. kwietnia 1889 r.

Sprawę przeniesienia gmin i obszarów dworskich Hołosków i Mołodyków, Neudorf, Skopówka, Strupków, Bogdanówka i Korszyłówka do innych okręgów reprezentacji powiatowych odesłano wydziałowi krajowemu. Toż samo odesłano do wydziału krajowego sprawę wcielenia zakładu kąpielowego w Rabce do gminy Rabka.

W sprawie podniesienia mleczarstwa w kraju, uchwalono w myśl wniosków komisji gospodarstwa krajowego:

1. Sejm przyjmuje do wiadomości sprawozdanie wydziału krajowego z czynności dotyczących podniesienia mleczarstwa w kraju.

2. Sejm poleca wydziałowi krajowemu, aby sprawę założenia praktycznej szkoły mleczarstwa zbadał i zapewniwszy się o poparciu fiuansowem ze strony rządu przedłożył sejmowi swe wnioski na najbliższej sesji.

3. Sejm wstawia w rubrykę XV. budżetu wydatków:

a) na utrzymanie instruktora, płaca wraz z kosztami podróży 2.250 zł.

b) na utrzymanie drugiego instruktora adjunkta wraz z kosztami podróży 1200 zł.

c) na urządzenie kursów mleczarskich i na środki demonstracyjne do nauki 1000 zł.

d) na pomocnika instruktora mleczarstwa 300 zł.

W załatwieniu petycji drożników krajowych uchwalił sejm, odnośnie do wniosku komisji drogowej (sprawozd. p. Urbański) następujące zasady:

1. Drożnikom w służbie przy drogach krajowych należy policzyć lata, przepędzone nieprzerwanie w służbie przy drogach krajowych, licząc od dnia złożenia przysięgi służbowe[j]

2. drożnicy po wysłużeniu nienagannie dziesięciu lat, w razie nieudolności do dalszej służby z powodu kalectwa lub choroby mogą otrzymać dar z łaski;

3. po dłuższej niż 35-letniej służbie otrzymują drożnicy przy drogach krajowych najwyżej po 8 zł. 10 ct. miesięcznie;

4. wdowy po drożnikach, którzy pozostawali przy drogach krajowych dłużej niż 35 lat, otrzymają jako zaopatrzenie najwyżej po 6 zł. 80 ct. miesięcznie;

---

karjerem przypadł przed front swej kawalerji i zakomenderował:

— Czwórkami, galopem, marsz, marsz! — i dobywszy pałasza, wpadł jak huragan w miasto.

Lotem błyskawicy przeleciała kawalerja ulicą, nieostrzeliwana przez ukrytych po domach Moskali, którzy na widok tego szalonego ataku potracili głowy.

Wpadł w rynek... lecz tu musiał przystanąć dla rozwinięcia frontu do szarzy.

Rota moskiewska dała ognia, kilkunastu jeźdźców spadło z koni, ale pluton sformował się i z okrzykiem: Jezus Marja! wpadł jak lawina na karki Moskwy.

Atak był wykonany z niesłychanym impetem, mimo że szarzujących dzieliła przestrzeń zaledwie stu kroków od zaatakowanych.

Mięta przełamał kolumnę moskiewską, nasi ułani nasiekli sporo mięsa, ale wypadłszy drugą stroną rynku za miasto i obliczywszy się, stracili ze stu dwudziestu towarzyszy okrągło siedmdziesięciu sześciu.

Taki był rezultat lekkomyślnej zachcianki Kurowskiego, który się uwziął zaznaczyć swoją działalność jakiemś zwycięztwem, chociażby za cenę krwi i życia przeszło trzystu ofiarnych synów ojczyzny.

Sam pan dowódzca ulotnił się szybko po wyniku ostatniego ataku i nikt go więcej nie widział przy resztkach oddziału.

Trudno dziś notować nazwiska tych bohaterów, którzy uzbrojeni w drągi i najlichszą broń, podążyli tam, gdzie ich powołał obowiązek — pamiętam niektórych i nazwiska ich podaję dla wiecznej pamięci.

Z oddziału żuawów padli zaraz przy pierwszej salwie na okopie: Emanuel hr. Muszyński, Tomkowicz, Heród, urzędnik rządowej kasy w Krakowie, Latinek, Lewandowski, wszyscy czterej austrjaccy strzelcy, Mieciński, Walicki, Darowski — ranni: kapitan Biernacki, Kisielewski, Kahane, Krzyżanowski, Preiss i wielu innych.

Mięta otrzymał podczas szarzy dwadzieścia jeden cięć i pchnięć, wskutek których dostał później pomięszania zmysłów i umarł niebawem.

Z oddziału żuawów, którzy wstępując w mury Miechowa liczył stu sześćdziesięciu żołnierzy, padło 84, a rannych zostało 31 — po półgodzinnej bitwie wyszło z życiem 45.

Z biegiem lat wielu spoczęło snem wiecznym jak: Kazimierz Salwach, profesor gimnazjalny w Krakowie, dr. Braun, adwokat w Brodach, sam Rocbebrune, który cudem prawie wyszedł z Miechowa, zginął w r. 1871 jako jenerał francuski pod murami Paryża — jeden z braci Wędrychowskich, Jan Gniewosz, Marceli Zboiński itd. Nazwiska tych którzy pozostali przy życiu po dziś dzień, podaję, o ile wiem o ich istnieniu: Biernacki, właściciel majątku Bagatelka w Pozuańskiem; Gajdziński, technik; Kahane, agronom (stracił rękę); Kisielewski, były drogomistrz powiatowy w Gorlicach (miał przestrzeloną twarz); Edmund Klemensiewicz, notarjusz w Krakowie; Krzyżanowski, artysta dramatyczny w Królestwie; Roża Henryk, szef sekcji w ministerstwie spraw wewnętrznych; Webersfeld Edward, urzędnik magistratu we Lwowie; Wędrychowski, naczelny buchalter kasy oszczędności we Lwowie; Wiśniewski, major we Lwowie; Edward Berliński we Lwowie.

Jeżeli żyje jeszcze kto z kolegów wyprawy Miechowskiej, byłbym mu nieskończenie wdzięczny za podanie swego adresu, pragnę bowiem dla obszerniejszej pracy o wypadkach r. 1863 zebrać jak najdokładniejsze daty.

Edward Webersfeld.

5. sieroty po drożnikach (w razie śmierci obojga rodziców, a mianowicie chłopcy do lat 14, dziewczęta do lat 12) otrzymają najwyżej 90 ct. miesięcznie, pod warunkiem, by wysokość datków sierocińskich dla wszystkich razem dzieci nie przewyższała połowy zaopatrzenia, które matka lub macocha pobierała, w nadzwyczajnych zaś wypadkach nie przewyższała $^2/_3$ zaopatrzenia matki.

Dotkniętej pożarem gminie Derewnia przyznano zapomogę w kwocie 300 zł.

Na koszta budowy nowego pawilonu przy szpitalu powszechnym w Podhajcach przeznaczono z funduszów krajowych 7000 zł.

W myśl wniosków odnośnych referentów odesłano do wydziału kraj. celem zbadania załatwienia, ewentualnie postawienia wniosków następujące sprawy:

Petycje: reprezentacji powiat. śniatyńskiej o zaciągnięcie pożyczki, gminy Ulicko o zniżenie prestacji szkolnej, gmin Wielowieś i Sielec o zaprowadzenie wag decymalnych na targach, wydziału pow. w Jaworowie o pomoc dla ludności wiejskiej, ks. Bukowskiego o zasiłek jednorazowy na utrzymanie Sióstr służebniczek i gminy w Kniaziołuce w sprawie zakupna obszaru dworskiego od rządu.

W sprawie petycji gminy Skomielnej o wyjednanie datku z fund. religijnego na utrzymanie księdza przy nowo utworzonem probostwie, uchwalono polecić wydz. kraj., aby postarał się o zasiłek z fund. religijnego w kwocie 100 zł.

Petycję wydziału powiatowego w Śniatynie o wyjednanie dla gminy Rożnów na pobór surowicy, tudzież gmin Słotwina i Lipowa w sprawie nadużyć prawa polowania odesłano rządowi do zbadania i załatwienia.

W załatwieniu petycji kilku gmin w Tarnobrzeskim w sprawie odsypisk powstałych wskutek budowli regulacyjnych, uchwalono polecić wydziałowi krajowemu, aby wyjednał u rządu jak najkorzystniejsze stosowanie § 47. ustawy wodnej w obec pokrzywdzonych właścicieli.

Zakończyła posiedzenie scena z p. Okuniewskim, który chcąc mieć ostatnie słowo prostował zapatrywania marszałka na przepisy regulaminu

Marszałek ponownie skonstatował, że p. Okuniewski nie ma racji a w końcu rzekł: „Wolno każdemu posłowi postawić wniosek o otwarcie dyskusji nad odpowiedzią marszałka, wolno to uczynić i p. Okuniewskiemu. Ile kroć jednak zechce wszcząć dyskusję bezpośrednio po odpowiedzi marszałka bez upoważnienia sejmu, głosu mu nie dam, ewentualnie odbiorę“. (Brawa i oklaski).

Koniec posiedzenia o godz. 12 m. 15.

Następne posiedzenie w poniedziałek o godzinie 10. rano.

* * *

Kronika sejmowa.

Wiadomości osobiste. Stosownie do wniosków komisji petycyjnej (ref. p. Michalski) przyznał sejm *veniam aetatis* dyrektorom szpitali powszechnych doktorom: A. Zaudererowi w Brzeżanach, J. Konkolniakowi w Stanisławowie, M. Jajusowi w Sokalu i J. Eckhardtowi w Tarnopolu.

Do porządku dziennego przeszła izba nad petycjami nauczycieli Kawczyńskiego, Godzienia, Zmudy i Kaleczyńskiego o przyznanie dodatków 5-letnich.

Apteka w Rabce. W załatwieniu petycji zwierzchności gminnej w Rabce uchwalił sejm na wniosek komisji petycyjnej, wezwać rząd o poczynienie stosownych kroków celem utworzenia stałej apteki w Rabce.

Wnioski i interpelucje.

Odczytano złożone do laski marszałkowskiej wnioski i interpelacje:

P. Rey wnosi uchwalenie wezwania do rządu, aby zrewidował przestrzenie rzek, których części uznane zostały za spławne.

P. Potoczek wnosi zmianę ustawy o regulacji granic lasowych.

P. Data wnosi uchwalenie wezwania wydziału krajowego do wydania praktycznego podręcznika dla gmin, któryby obejmował wszystkie sprawy życia powszechnego i publicznego w gminach.

P. Potoczek z interpelacją do komisarza rządowego o obniżenie podatków od gruntów na szkodliwe wpływy lasów wystawionych.

P. Warzecha z interpelacją do komisarza rządowego o ubezpieczeniu na starość organistów.

P. Data z interpelacją do komisarza rządowego. jak stoi sprawa odszkodowania gmin za czynności poruczonego zakresu działania.

P. Szwed z interpelacją do komisarza rządowego, o zniżenie ceny soli dla bydła i udzielenia bezpłatnie pewnej ilości.

P. Osuchowski z interpelacją do komisarza rządowego w sprawie odbudowania mostów erarjalnych w Turce.

P. Osuchowski z interpelacja do komisarza rządowego kiedy pow. Turczański otwartym zostanie dla ruchu handlowego, skoro zaraza wygasła.

P. Jakliński wnosi uchwalenie polecenia wydziałowi krajowemu, aby popierał zakładanie szpitali mniejszych w okolicach pozbawionych szpitali.

Bankiet na cześć p. Dawida Abrahamowicza.

Lwów 21. stycznia.

Posłowie sejmowi urządzili wczoraj w kasynie miejskiem ucztę na cześć prezydenta izby poselskiej w radzie państwa p. Dawida Abrahamowicza. Uczczenie tego męża, który podczas ostatnich wypadków w parlamencie wiedeńskim tyle wycierpiał, stał się celem rozlicznych ataków, obsypywany bywał przez reprezentantów „wyższej kultury niemieckiej“ gradem obelg, było niejako potrzebą serc wszystkich tych, którzy widzieli, jaką ofiarę czyni p. Abrahamowicz ze siebie, jedynie dla dobra państwa, dla spełnienia włożonego nań obowiązku i dla rozwoju prac parlamentarnych. To też słusznie podniósł marszałek krajowy w swym toascie, iż spokój, stanowczość i odwaga p. Abrahamowicza na godnosci prezydenta izby poselskiej, połączona z myślą spełnienia obowiązku bez względu na swą osobę zaszczyt mu przynosi i że w przyszłości, gdy się umysły uspokoją, uznanie i cześć dla niego zajmą miejsce dotychczasowych przykrości i potępiających wyroków. P. Abrahamowicz zdziałał wiele dla dobra państwa, wypowiedziane więc wczoraj przez marszałka uznanie dla niego nie było czczym frazesem, lecz tylko oddaniem hołdu sprawiedliwości i prawdziwej zasłudze. Serdecznym był również toast hr. Dzieduszyckiego na cześć dra Bilińskiego i dra Bilińskiego na cześć dra Dunajewskiego.

* * *

W kasynie do stołu zasiadło przeszło sto osób: posłów sejmowych i do rady państwa.

Wśród uczty pierwszy zabrał głos marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni i przemówił w te słowa: „Gdybym miał dać odpowiedź na pytanie, czego naszemu społeczeństwu najbardziej potrzeba, nie wahałbym się powiedzieć: indywidualnej dzielności, chęci i umiejętności spełniania obowiązków na każdem stanowisku, na którem nas własne życzenie lub wola innych postawiła. (Brawa.) Im więcej ludzi dzielnych, tem też dzielniejsze i silniejsze całe społeczeństwo, tem odporniejsze przeciw wszystkiemu, co je z zewnątrz lub z wewnątrz osłabić lub podkopać usiłuje. (Brawa.) Jeżeli chcemy być wolni kiedyś od zarzutu, że nie umieliśmy dostatecznie skorzystać dla dobra kraju i narodu ze względnie pomyślnych warunków, w jakich się znajdujemy, jeżeli kiedyś chcemy z czystem sumieniem oddać naszym następcom sumę interesów narodowych i społecznych naszej opiece powierzonych, musi każdy z nas spełnić przedewszystkiem obowiązki publiczne mniejsze lub większe, jakie na siebie przyjął. (Brawa.) Chęć uznania umiejętności spełnienia nieraz ciężkich obowiązków publicznych, u tego, który dziś naszym jest gościem, oto cel naszego dzisiejszego zebrania. Z uznaniem patrzymy od długiego szeregu lat na ten talent wybitny, który się rozwijał i potężniał pod wpływem usilnej i dzielnej pracy, tę wyjątkową wytrwałość w pracy widzieliśmy zawsze, czasem jej zazdrościliśmy, a nie zawsze naśladować umieli. (Brawa.) Dawid Abrahamowicz bronił swego zdania zawsze wytrwale, stanowczo i śmiało idąc za swem przekonaniem, a nie licząc się z ubocznymi względami, bronił nietylko siebie i własnego zdania, ale chciał i umiał dzielnie bronić tych ciał parlamentarnych, do których należał, walczył skutecznie bronią prawdy wówczas, gdy one były przedmiotem ustawicznych ataków, (Powszechne brawa.) a walcząc zwycięsko, oddawał tem samem istotnie usługi krajowi. Każdą sprawę, którą się zajął, znał gruntownie, a nie ustępował przed żadną trudnością, aby wywalczyć dla kraju korzystne jej załatwienie lub przynajmniej oddalić grożące niebezpieczeństwo. Zasługa posła Abrahamowicza pod tym względem jest tak istotną, tak znaczącą, iż zjednała mu uznanie nawet tych, którzy byli lub są jego politycznymi przeciwnikami. (Brawa i oklaski.) Gdy z woli większości parlamentu wiedeńskiego wybrany został prezydentem izby w najtrudniejszych warunkach i okolicznościach, poddał się woli większości i spełnił swój obowiązek w sposób, jaki uważał za zgodny z interesami państwa i parlamentu, a jego spokój, stanowczość i odwaga, połączona z myślą spełnienia obowiązku bez względu na swą osobę, zaszczyt mu tylko przynoszą. Nie wspomnę tu ani słowem o tem, co się pomimo woli nasuwa, bo pragnę, by ani w sejmie, ani na naszych zebraniach nie padło słowo, któreby drażnić lub uspokojenie utrudniać mogło, (Brawo) nie jest zresztą naszą rzeczą ani naszym zwyczajem nieobecnych potępiać lub piętnować. Mam jednak nadzieję, że kiedyś w przyszłości wolnej od zaślepienia i namiętności uznanie i cześć zastąpią doznane przykrości i potępienia. My zaś dajemy wyraz naszym serdecznym, koleżeńskim uczuciom, naszemu uznaniu i sympatji w toaście, który wznoszę: „Prezydent Dawid Abrahamowicz niech żyje!“ (Huczne oklaski.)

Gdy przebrzmiały grzmiące wiwaty na cześć p. Abrahamowicza, zabrał głos p. Abrahamowicz i odpowiedział w te słowa:

Za nader zaszczytne i łaskawe słowa, z któremi raczyłeś ekscelencjo marszałku do mnie się zwrócić, przyjmij najserdeczniejsze podziękowanie. A to samo podziękowanie składam wszystkim szanownym kolegom tu obecnym z zapewnieniem wdzięczności i z zapewnieniem, że słowa, które eksc. marszałek wypowiedział i wasze uczestnictwo w dzisiejszem zebraniu pozostanie mi z życia mego publicznego najdroższą na zawsze pamiątką.

Wiem dobrze, iż tłem dzisiejszego zebrania jest szczególna wasza sympatja i łaskawość dla mnie. lecz zbyt długo jestem posłem, niejednokrotnie już brałem udział w podobnych zebraniach, ażebym nie wiedział, że zgromadzenie dzisiejsze wychodzi po nad miarę tego, co objawem sympatji koleżeńskiej nazwać można. Jakoż tłumaczę sobie, że dzisiejsze zebranie jest nietylko objawem aż nadto łaskawego ocenienia moich prac w służbie publicznej w sejmie krajowym, lecz również aktem zadośćuczynienia za pewne przykrości, na które nietylko ja osobiście, ale wszyscy na naczelnych stanowiskach będący w czasie tych ostatnich tak burzliwych sesyj parlamentarnych byliśmy narażeni. (Brawa.) Zadośćuczynienie, które mnie w tem gronie spotyka jest dla mnie nader zaszczytnem i poważnem, bo dają mi je posłowie tego sejmu, który pod względem stateczności, powagi i godności w obradach i pracach swoich nie dał się prześcignąć żadnej reprezentacji w państwie lub krajach koronnych (Brawa.); to dają je posłowie, w których działaniu osobistem lub zbiorowem zawsze przebija się jasno a stale zrozumienie tego pewnika, że wpływ moralny sejmu jest pierwszym warunkiem jego powagi i znaczenia. W szczególnie łaskawych słowach raczył marszałek wspomnieć o służbie, którą pełniłem na innem miejscu. Jeżeli, szanowni panowie, udało mi się spełnić ten — nie powiem zbyt łatwy — obowiązek, to w pierwszym rzędzie zawdzięczam to tej wspólności uczuć i myśli, jaka mnie łączyła z kolegami moimi w kole polskiem (Brawa.); a nie mówiąc już o poczuciu odpowiedzialności, jaka ciężyła na prezydencie Polaku w izbie wiedeńskiej, odpowiedzialności przez wszystkich nas dobrze zrozumianej, zawdzięczam to przykładom które mi w życiu publicznem przyświecały, a których licznych przedstawicieli tutaj między nami widzę. Oni mnie nauczyli, że chcąc spełnić obowiązek na stanowisku wybitnem, potrzeba być wolnym nietylko od trosk o osobę własną, ale i od troski o utrzymanie się na tem stanowisku, chociażby najzaszczytniejszem (brawa i oklaski). Wspominał eks. marszałek, że nie chciałby rozbliźniać rany, która toczy organizm życia parlamentarnego w Austrji. Nie uczynię tego — i ja pójdę za jego przykładem. Nie będę mówił o przeszłości, lecz powiem słów kilka o przyszłości, a mówiąc o niej mniemam, że będę tłumaczem przekonań i uczuć wszystkich tu zebranych, jeżeli podniosę, że szczerze i gorąco pragniemy, ażeby w tem państwie, z którem się zrosły losy kraju naszego, jak najprędzej powróciły stosunki normalne (brawa), żeby nastąpiła zgoda pomiędzy narodami, zgoda, która jest warunkiem rozwoju państwa na wewnątrz, jego siły i potęgi na zewnątrz (brawa), a my jak dotychczas, tak i w przyszłości będziemy dokładali wszelkich usiłowań, ażeby wiedzeni uczuciem wdzięczności dla monarchy, pod którego wspaniałomyślnem berłem uszanowano nasze prawa historyczne' i obowiązkiem dla państwa, stać przy tej myśli bo wiemy dobrze, że naszem zadaniem było, jest i będzie pamiętać o tem, iż w państwie, gdzie prawa narodu i kościoła naszego są uszanowane, (brawa), Polacy umieją być zarówno w reprezentacji państwa, jak wogóle w życiu publicznem czynnikiem dodatnim (huczne oklaski). Ale nie spełniłbym swego zadania, gdybym nie powiedział, że uczta dzisiejsza i uczta, która ją porzedziła — jakkolwiek pierwsza była dla uczczenia niespożytych zasług prezesa koła polskiego, a druga jest nagrodą nad miarę zasług moich, że uczty te nie mają cechy znamiennej. A cechą tą jest to, iż nam nie towarzyszył sukces. ów sukces, który jest możnowładcą małych, a porywa nierzadko i wielkich. Nasze usiłowania w radzie państwa, usiłowania spełnienia obowiązków wobec niego i dania państwu, co się państwu należy, nie odniosły pożądanego skutku; nie spełniliśmy tego, co nam na sercu leżało, a mimo to panowie daliście i dajecie dowód, że nie według jednodniowego sukcesu oceniacie prace delegatów waszych (brawa). lecz według zasad, które im przewodniczą (huczne brawa i oklaski). Gdybym miał wypowiedzieć jeszcze jedno życzenie, pragnąłbym, ażeby w radzie państwa ujawniło się to usposobienie, które jest tradycją sejmu naszego (brawa), ażeby ta powaga, którą się odznacza sejm nasz, roztoczyła się i nad parlamentem austrjackim. A gdy to podnoszę życzenie, cóż mi pozostaje, jak nie to, ażebym na pomyślność tego sejmu wzniósł toast w ręce marszałka krajowego (huczne oklaski) z życzeniem, ażeby pod jego laską, bod jego energicznem i wzorowem kierownictwem, za jego niestrudzonej pracy przykładem, sejm nasz nadal jak dotąd obradował z pożytkiem dla kraju i społeczeństwa. (Huczne oklaski).

Z kolei zabrał głos Wojciech hr. Dzieduszycki, który w wymownych, pełnych poetyckiego polotu słowach, wzniósł toast na cześć dr. Leona Bilińskiego, byłego ministra skarbu, podnosząc jego zawsze najgorętsze, przywiązanie do kraju.

W odpowiedzi na ten toast dr. Biliński serdecznie podziękował hr. Dzieduszyckiemu za życzliwe słowa uznania, zaznaczył, iż na stanowisku swem spełnił jedynie tylko obowiązek i dodał, że jeżeli go spełniać umiał, to zawdzięczać to musi mężowi znakomitemu, od którego uczył się tej wielkiej sztuki, jak teorję wykładaną w uniwersytecie przeprowadzić w życiu praktycznem. O mężu tym, pełnym zasług, nawet urzędnicy Niemcy wyrażali się z głęboką czcią i poważaniem (brawa). Bronił też interesów kraju całym potężnym swoim talentem przez długi szereg lat, a kiedy rząd odstąpił od zasad i systemu, który odpowiadał tendencjom i myślom sejmu krajowego, mąż ten nie wahał się rzucić swego zaszczytnego stanowiska i zrzec się godności (huczne oklaski).

Przemówienie swe zakończył toastem na cześć dr. Dunajewskiego.

Dr. Dunajewski odpowiedział: Mniemałem panowie, że zgromadziliśmy się tu, aby dać wyraz szacunku, czci i sympatji tym szanownym kolegom, którzy niedawno w radzie państwa spełniali tak trudne i ciężkie obowiązki i nie spodziewałem się, aby i moją osobę wmięszano do tak miłego i szanownego towarzystwa.

W dalszym toku swej przemowy rozwinąwszy myśl, że różnice zdań i zapatrywań w każdym żyjącym organizmie społecznym objawiać się muszą, wskazał na jedno najwyższe prawo, które nami wszystkimi kierować winno we wszystkich pracach publicznych, na przykazanie: kochaj swoją ojczyznę (oklaski). Tradycyjne to przykazanie zdolne narodowi zapewnić moc i siłę w przyszłości, jest charakterystyczną cechą takiego społeczeństwa, jakiem dzisiaj jest nasze. Słuszna też — mówił dr. Dunajewski dalej — iż gościmy dziś p. Abrahamowicza, który rzekł, iż sejm nasz odznacza się wielką powagą, godnością i spokojem w obradach; wiele to obiecuje na przyszłość. Możemy zwalczać się wzajemnie pod względem zasad, szanując jednak osoby, możemy karcić swe błędy wzajemnie, możemy się spierać nietylko w sejmie, ale w całym wielkim kraju, lecz w tych sporach powinna być zachowana tradycja porządku i ładu, tradycja dobra.

W nadziei, iż wszyscy pracownicy na polu spraw krajowych złączą się w miłości ogólnego dobra, stawiającej je ponad dobro indywidualne, ponad zapatrywania stronnicze jednostek, zakończył mowca toastem staropolskim: kochajmy się!

Uczta skończyła się o godz. 10. wieczorem. Podczas bankietu przygrywała muzyka 30 pp.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski.

Sobota 22. stycznia.

Na uniwersytecie o godz. 6. wiecz. zebranie miesięczne tow. historycznego.

Na stawach panieńskich o godz 3. popołudniu konkurs w jeździe sztucznej dla nowicjuszów.

Na uniwersytecie o godz. 6. wiecz. walne zgromadzenie akad. tow. „Szkoły ludowej.“

W Czytelni dla kobiet o godz. 6. wiecz. odczyt dr. Macheka pt. „Z dziedziny okulistyki.“

W „Sokole“ wieczorek muzyczno-deklamacyjny ku uczczeniu rocznicy powstania. Początek o godz. 7. wieczorem.

O godz. 9. wiecz. na strzelnicy wieczornica uczestników powstania z r. 1863.

Teatr hr. Skarbka: popołudniu „Hamlet“, tragedja Szekspira; wieczorem „Żydówka“, opera Halevy'ego.

Kalendarz. Sobota (22.): Wincentego m. — Wschód słońca o godzinie 7. minut 48, zachód o godzinie 4. minut 37.

Za poległych w r. 1863 w walce o wolność odbyły się wczoraj rano staraniem komitetu mieszczańskiego żałobne nabożeństwa we wszystkich kościołach lwowskich o godz. 8 rano. Solenne nabożeństwo odbyło się w katedrze o godzinie 10. Odprawił je ks. kanonik Lenkiewicz. Przed wielkim ołtarzem ustawiony był katafalk z trumną i insygniami powstańczemi: parę szabli złożonym w krzyż oraz rogatywką. Dokoła katafalku poustawiano karabiny w kozły, kosy i lance, zdobne w chorągiewki. W uroczystości wzięły udział cechy ze sztandarami, „Gwiazda“, „Skała“, pluton straży ochotniczej ogniowej i „Sokoli“ w mundurach. Przed głównym ołtarzem zajęli miejsce szeregiem uzestnicy powstania 1863 roku z księciem Adamem Sapiehą na czele, oraz rada miejska z prezydentem dr. Małachowskim. Nawę kościelną wypełniły szczelnie tłumy publiczności. Nastrój był niezwykle poważny. Po nabożeństwie zabrzmiał hymn: „Boże coś Polskę“.

Wiadomości djecezjalne. Djecezja tarnowska. Prezentę na probostwo w Lipnicy-murowanej otrzymał ks. Stanisław Gajewski, dotychczasowy proboszcz w Olszówce. Odznaczeni rokietą i mantoletą: ks. Józef Lenartowicz, proboszcz w Lubczy i ks. Józef Radoniewicz, proboszcz w Wielopolu. Przeniesieni księża: Jan Sowicki z Ujanowic do Bolesławia, ks. Szczepan Tabaczewski z Rzechowa do Szczepanowa, Franciszek Miklasiński ze Szczepanowa do Rzochowa. Zmarł w Bochni ks. Stanisław Sowicki, były proboszcz w Sidzinie, djecezji krakowskiej, w 68 roku życia, a w 47 kapłaństwa.

Zaćmienie słońca. Jeśli pogoda pozwoli, będziemy dziś w sobotę rano naocznymi świadkami wspaniałego, a ostatniego w bieżącem stuleciu widowiska na firmamencie niebieskim: całkowitego zaćmienia słońca. Jak wiadomo, zaćmienie słonca — *defectus solis* starożytnych — zdarza się wtedy, gdy punkty środkowe słońca, księżyca i ziemi znajdują się na jednej prostej linji, a całkowitem bywa wtedy, gdy księżyc znajduje się względnie tak blisko ziemi, iż stożek jego cienia rzuconego, dotyka powierzchni naszego planety. Ku zmartwieniu europejskich astronomów spektrografów i fotografów nieba sobotnie zjawisko, w swych najefektowniejszych momentach, widzialnem będzie nie w naszej części świata, lecz w Afryce, Indjach, Mongolji i Mandżurji. W Europie zaś zaćmienie sobotnie widzialnem będzie tylko na południe od idealnej linji, którą należy pociągnąć od Nowej Zemli przez Finlandję, zatokę Botnicką, południowo-wschodnią Francję i Barcelonę w Hiszpanji. W Austro-Węgrzech wahać się będzie zaciemniona część słońca między 0·193 a 0·270 średnicy jego tarczy. U nas we Lwowie, początek tego niebieskiego zjswiska przypada w sobotę na godz. 6. minut 19 rano, koniec zaś na 11. minut 26 przed południem; o wschodzie będzie już zatem słońce zaćmione.

Dla obserwowania tego zaćmienia wyruszyło już w swoim czasie kilka wypraw naukowych angielskich i amerykańskich do Indyj Wschodnich, gdzie warunki klimatyczne są najdogodniejsze dla tego rodzaju obserwacyj, Francuzi zaś usadowili się na wschodniem wybrzeżu Afryki. Ponieważ nawet w najdogodniejszych dla obserwacji punktach tarcza słoneczna zupełnie zasłoniętą będzie przecięciowo tylko przez dwie minuty, przeto jeden z angielskich uczonych wpadł na myśl użycia kinematografu, który na sekundę dawać będzie 5 do 6 zdjęć fotograficznych zaćmionego monarchy świata planetarnego.

Najbliższe całkowite zaćmienie słońca widzialne będzie w Ameryce środkowej i w Hiszpanji dopiero w r. 1900.

Z uniwersytetu. Pp. Franciszek Ludomir Dubiszewski, rodem z Niewirkowa w Królestwie polskiem i Józef Jan Gogólski, rodem ze Zbaraża w Galicji, otrzymali na uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktorów wszech nauk lekarskich.

Fabryka koniaku i herbaty w Krakowie. Niedawno donosiliśmy, iż w jednej z piwnic na Kazimierzu policja krakowska wykryła fabrykę koniaku, wyrabianego ze zwyczajnego spirytusu i przy pomocy rozmaitych mieszanin, przyczem do filtrowania napoju używano różnych, niebardzo czystych worków, nakrywających beczki. „Fabrykanta“, w osobie żyda z Chrzanowa Mojżesza Urbacha, policja oddała w ręce sądu karnego. Żona aresztowanego prowadziła dalej po przytrzymaniu męża sklep z mieszanymi towarami, w którym policja zarządziła onegdaj rewizję. Podczas rewizji znaleziono zręcznie między towarami poukrywane etykiety koniaku najsłynniejszych firm, kapsle itp. przybory, wskazujące, że Urbach puszczał w handel swój towar pod pierwszorzędnemi markami. Ale oprócz tego znalazła policja etykiety do „rosyjskiej“ herbaty, oraz zapas wygotowanej starej herbaty. Wskazuje to, że Urbach oprócz fabryki koniaku, miał także fabrykę „rosyjskiej“ herbaty, robiąc mięszanki, do których dostawała się także wygotowana już i wyzyskana herbata.

Odstępca. *Dziennik Chicagowski* zawiadamia, że Stanisław Markiewicz (syn Wojciecha) z Jasła, uciekłszy z jakąś żydówką do Ameryki, przyjął tam wiarę żydowską i przezwał się Abrahamem Mellingerem.

Z Poznania donoszą: „W związku z noworoczną wizytą księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, księdza dr. Stablewskiego, na dworze berlińskim ma być, jak się dowiaduje z Berlina *Gazeta Toruńska*, zamierzone wyniesienie księdza arcybiskupa dr. Stablewskiego do godności kardynalskiej, co byłoby już dawniej nastąpiło, gdyby nie opór rządu pruskiego. — Gazety berlińskie donoszą o zamianowaniu „namiestnika królewskiego“ dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego, któryby tylko przez pewien czas zamieszkiwał w Poznaniu. Poznański hakatystowski *Tageblatt* nie bardzo w to wierzy, dodając, że taka „dekoracja“ dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego byłaby zbyteczna. — Z dniem 1. b. m. p. Józef Chociszewski, znany i zasłużony pisarz ludowy, złożył redakcję *Lecha* gnieźnieńskiego. Objął ją po nim dr. Józef Bohdan Ulatowski. — W Poznaniu będzie otwarte nowe wyższe gimnazjum realne, na które minister oświaty dał już pozwolenie. Projekt wymaga jeszcze uchwały sejmu pruskiego. Otwarcie nowego gimnazjum, czwartego z rzędu w Poznaniu, oczekiwane jest w dniu 1. kwietnia r. b. — Poznański teatr prowincjonalny, który od października r. z. daje przedstawienia w Królestwie, a obecnie od dłuższego czasu grywa w Kaliszu, zjedzie do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i rozpocznie szereg przedstawień w Ostrowie prawdopodobnie dnia 11. b. b. głośną sztuką Zapolskiej „Małka Szwarcenkopf“.

Taniec najwięcej szkodzi brakiem umiarkowania i nadmiernym wysiłkiem, wywieranym aż do zupełnego zmęczenia i niemożności oddechania. Żywa i ochocza muzyka tańców wirowych na balach, toalety pań i całe urządzenie balowe, podniecają zanadto ustrój nasz, przez co przekraczamy często właściwą dla zdrowia miarę w tańcu, lekceważąc wszelkie, na doświadczeniu oparte przestrogi. Nie mniej niewłaściwem jest używane przy tej zabawie ubranie kobiet, obnażające szyję, piersi, plecy i ramiona, a zarazem ściskające dolną część klatki piersiowej, co ubezwładnia większą połowę płuc i serce uciska.

Na domiar złego, tańce odbywają się zwykle późno wieczorem, a raczej nocą, zabierając czas dla snu przeznaczony i potrzebny. Tem się tłomaczą często zgubne następstwa nieumiarkowanego i w złych warunkach uprawianego tańca, który przy zachowaniu zasad hygienicznych i czystości powietrza, umiarkowania i roztropności, jest ruchem sprzyjającym zdrowiu i zabawą szczególnie młodemu wiekowi odpowiednią.

W tańcu jednak dla młodych jest tyle powabu, że byłoby największem barbarzyństwem wstrzymywać się od niego. Jednak, żeby nie szkodzić nie tylko zdrowiu, ale nawet życiu niekiedy, należy zapamiętać niektóre hygjeniczne rady.

Przedewszystkiem skłonni do chorób płuc i serca, a także wyzdrowieńcy po ciężkich chorobach, powinni wstrzymywać się od tańców. Tak samo powinny unikać tańca kobiety karmiące dzieci. Strój musi być lekki, ale nie krępujący swobody ruchów i oddychania. Przy wzmocnionych ruchach serca, odpoczynek częsty jest koniecznym, aby ruchy te uspokoić. W czasie odpoczynku unikać trzeba nagłego oziębienia, a więc nie siadać na przewiewie chłodnego powietrza, lub w zimnym pokoju i nie wychodzić na wolne powietrze, a pragnienie gasić po odpoczynku; jednak natychmiast po napiciu się należy znowu tańczyć.

Przed zabawą należy spożyć lekki posiłek, bo gdy żołądek jest czczym, to wskutek gwałtownego ruchu można doznać zemdlenia, zwłaszcza, jeżeli pierś jest zbyt ściśnięta. Po ukończonych tańcach należy dokładnie wypocząć, dopóki przyśpieszone bicie serca i oddech nie uspokoją się, a potem ciepło okryć się, idąc do domu i w drodze nie rozmawiać, aby nie wprowadzać do płuc rozgrzanych i zmęczonych zbyt zimnego powietrza. Panny lekko ubrane do domu powinny wracać w zamkniętym powozie.

Amerykańskie morze Martwe. W Stanie Washington Ameryki północnej znajduje się w wysokości 610 metrów nad poziomem Oceanu Spokojnego jezioro przypominające zupełnie znane morze Martwe w Palestynie. Jezioro to bez żadnego widocznego przypływu i odpływu, ma wodę prawie tak słoną, jak woda morza Martwego. Do niedawna mniemano, że w wodzie jego nie ma żadnych istot żyjących, pokazało się wszakże po dokładnem zbadaniu, iż żyje w niem pewien gatunek małych żółwi i osobliwe ryby, 20 centymetrów długie, używające płetw przednich do czołgania się po ziemi. W pasie 2-kilometrowym od brzegu tego jeziora nie ma żadnej roślinności.

O zamachu anarchistycznym, o którym doniósł nam telegram, otrzymujemy następujące szczegóły: Widownią zbrodni była ulica Berzeliusa, jedna z ulic, dotykających do avenue Clichy, mało w nocy uczęszczana. Na tej ulicy znajduje się stacja policyjna. Otóż o godzinie 2. w nocy, będący na służbie sierżant policyjny Renard, został napadnięty podstępnie przez pewne indywiduum, które zadało mu kilka ciosów sztyletem w brzuch. Nieszczęśliwy policjant, ciężko raniony, upadł z głośnym okrzykiem na ziemię, a napastnik rzucił się na niego i zadawał mu nowe ciosy w brzuch i twarz. Na krzyk przybyli z pomocą koledze, który otrzymał już ośm ran, sierżanci policyjni Rousset i Lebreton — i usiłowali oderwać zbrodniarza od ofiary. Ale ten walczył, jak szalony. Zadał znowu Lebretonowi dwie rany sztyletem, podczas gdy pierwotnie napadnięty Renard leżał na ziemi, jęcząc. Nie można było ubezwładnić zbrodniarza dotąd, dopóki nie przybył trzeci policjant. Wtedy dopiero zdołano pochwycić łotra i umieścić go w areszcie policyjnym. Ze swego zamknięcia krzyczał on, wymyślał i wygłaszał anarchistyczne groźby.

W chwili, gdy policjanci byli zajęci ratowaniem swych dwóch śmiertelnie rannych kolegów, więzień, którego nie zdążyli związać, zaczął nagle do nich strzelać z rewolweru przez okienko, znajdujące się we drzwiach lokalu, gdzie był zamknięty. Dał on bardzo szybko pięć strzałów. Jedna z kul trafiła już poprzednio ranionego policjanta Lebretona i strzaskała mu szczękę, a nieszczęśliwy upadł na ziemię bez przytomności; zbrodniarz zaś przez okienko ciągle do policjantów mierzył z rewolweru i wołał: „Uśmiercę każdego, kto się do mnie zbliży“.

Przybył wtedy komisarz policji Rouffaud, który zagroził sprawcy zamachu, że jeżeli nie odrzuci rewolweru, poleci policjantom, ażeby go zastrzelili. To dopiero przestraszyło złoczyńcę; rzucił rewolwer na ziemię — i został związany przez policjantów. Podczas rewizji znaleziono przy nim trzydzieści pięć nabojów. Rewolwer był dziesięcio-strzałowy i zawierał jeszcze pięć nabojów.

Komisarz Rouffaud rozpoczął zaraz badanie zbrodniarza. Ten, na pytanie, kto jest, odpowiedział:

— Anarchista.... Nazywam się Etievant i jestem redaktorem organu patyjnego *Libertaire*.

— Dla czego spełniłeś pan zbrodnię? — pytał dalej komisarz.

— To później wyjaśnię... Na razie nie powiem nic więcej, jak tylko to, że dopiero co przybyłem z Londynu.

Etievant liczy lat trzydzieści dwa i jest jednym ze znanych anarchistów. Urodził się w Paryżu i stale tu mieszkał. Był już skazany na kilkoletnie więzienie za kradzież dynamitu. Stan dwóch nieszczęsnych, ciężko ranionych policjantów jest prawie bez nadziei.

Egzotyczne gratulacje. Syoniści lwowscy wysłali do Emila Zoli gratulacyjny telegram za to, iż powieściopisarz ten w znanym swoim liście otwartym ujął się za Dreyfusem. Taki sam telegram wysłali do Zoli niektórzy studenci politechniki lwowskiej. Obie te gratulacje są dość oryginalne ze względu na istotną trudność zorjentowania się w tem, kto w całej aferze dreyfusowsko-esterhazowskiej wychodzi na biało, a kto na czarno. Zagadka powyższa jest tak zawiła, że nawet ludzie, stojący przynajmniej geograficznie daleko bliżej źródła, aniżeli lwowska młodzież politechniczna, nie mogą się w niej zorjentować, charakterystycznem zaś jest, że tak gorący i z pewnością nieskorumpowany żywioł,

ak młodzież paryska, demonstruje w bardzo dosadny sposób przeciw wystąpieniu Zoli.

Powód. Małżonek powraca po trzy tygodniowej nieobecności do domu. Następuje czułe powitanie z żonusią, poczem z koleią wychodz na stół wymówki.

— A! wiesz, Henryku, żem się tego po tobie nie spodziewała. Przez trzy tygodnie, przez całe trzy tygodnie nie napisać ani jednego listu! A powiadasz, że mnie niby kochasz.

— Bo, widzisz, żonusiu, ja cię tak... nieopisanie kocham.

---

* **Klub pocztowy** urządza dnia 25. stycznia rb, (wtorek) w lokalu własnym zabawę z tańcami. Strój dla pań wieczorkowy, dla panów balowy. Początek o godzinie 8 wieczorem.

* **Wieczorek** muzyczno-deklamacyjny w rocznicę powstania z r. 1863/4, odbędzie się w sobotę 22. bm. pod artystycznem kierownictwem prof. Neuhausera przy współudziale pani Camillowej, pp. Melcera i Woleńskiego, oraz chóru Tow. muzycznego. Bilety sprzedają: cukiernia p. Grossa, kawiarnia Metropole p. Janowicza, oraz kasa w dzień wieczorku.

* **„Batalja kwiatowa.“** Jedną z nowości niezwykle urozmaiconego programu, jaki wykonany zostanie na wielkiej reducie w d. 1. lutego, będzie batalja kwiatowa, która obok *confettich* i wężów powietrznych da całej publiczności, zebranej w amfiteatrze, oraz w obu salach redutowych, pożądaną sposobność do wesołej i wykwintnej zabawy. Przyrządy do walki kwiatowej będzie można nabywać na sali po cenie kosztów.

* **Wystawa nieustająca** sztuk pięknych zamkniętą będzie w sobotę d. 22. bm. o godz. 4. popol. dla publiczności z powodu obrad komitetu pań w sprawie balu prasy, zapowiedzianego w tych lokalnościach.

* **Zebranie miesięczne** Towarz. historycznego odbędzie się w sobotę d. 22. bm. o godz. 6. wieczorem na uniwersytecie. Na porządku dziennym odczyt dr. Bronisława Gubrynowicza: „Jan Chyzostom Pasek w świetle nowych dokumentów.“

* **Rocznica styczniowa.** „Gwiazda“ lwowska urządza w niedzielę d. 23. bm. uroczysty wieczór dla uczczenia 35tej rocznicy wybuchu powstania styczniowego.

* **Towarzystwo bratniej pomocy** słuchaczów akademji weterynaryjnej urządza w klubie pocztowym d. 2. lutego wieczorek z tańcami.

* **Wielka reduta.** W prugramie reduty, która w dniu pierwszym lutego odbędzie się w salach teatralnej i galic. towarzystwa muzycznego, weźmie też udział, podobnie jak w roku zeszłym, sympatyczne tow. śpiewackie „Echo.“ Dzielni „Echiści“, odpowiednio ukostjumowani, wykonają „chór żab.“ Bilety do lóż oraz do miejsc numerowanych w amfiteatrze zamawiać można od dnia dzisiejszego w administracji *Śmigusa* (ul. Łyczakowska 27).

Zmarli:

Antonina Tyszkowska, właśc. dóbr, zmarła we Lwowie 53 r. życia.

Wiktor Kregler, rewident namiestnictwa, zmarł we Lwowie w 44 r. życia.

Agnieszka z Iwanickich Lewicka, żona emerytowanego poborcy podatkowego i właśc. realności we Lwowie, zmarła nagle w Kamionce Strumiłowej.

W Bejrucie w Syrji zmarł w 73 roku życia Ludwik Monasterski (Lufti-bej, emerytowany pułkownik 23 p. jazdy tureckiej, a w ostatnich czasach komisarz sułtański kolei żelaznej z Damaszku do Bejrutu.

Dnia 17. b. m. zmarł w Zakopanem w 32 r. życia, nauczyciel ciesielstwa, architekt Zygmunt Dobrowolski. Szkoła ponosi nieodżałowaną stratę, ponieważ zmarły zapowiadał już swemi pierwszemi pracami niezwykłą siłę zawodową.

W Tarnowie zmarł w 78 r. życia ks. Antoni Brzeziński.

Marceli Smoleński, inżynier, żołnierz z r. 1863, zmarł we Lwowie w 55 r. życia.

Mieczysław Kabarowski, pocztmistrz w Magierowie, zmarł w 31 r. życia.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w sobotę popołudniu o godzinie 3 przedstawienie dla młodzieży szkolnej: „Hamlet“, tragedja w 5 aktach Szekspira; wieczorem o godzinie pół do 8 „Żydówka“, wielka opera w 5 aktach Halevyego; jutro w niedzielę popołudniu o godzinie pół do 4 „Córka pułku“, opera komiczna Donizettiego; wieczorem o godzinie pół do 8 „Lohengrin“, wielka opera w 3 aktach Wagnera; w poniedziałek po raz pierwszy „Na miejskim bruku“, sztuka konkursowa w 3 aktach Edw. Grabowieckiego.

Nowa sztuka. W teatrze warszawskim Rozmaitości przedstawiono we czwartek po raz pierwszy krotochwilę znanego poety i pisarza Kazimierza Glińskiego pod tytułem: „Szaławiła“. Sztuka się publiczności podobała, a recenzenci chwalą wielki ruch, jaki panuje na scenie, ożywioną akcję i sytuacje, wprawdzie często nieprawdodobne ale zabawne.

Gospodarstwo przemysł i handel.

Dom handlowy dla rolnictwa i przemysłu we Lwowie. Lwów 19. stycznia 1898 r. Dziś notujemy za 100 kg. metr. loco Lwów. Pszenica od 10·50 do 11·10, żyto od 7·75 do 8·—, jęczmień browarny od 6·50 do 7·75 jęczmień pastewny od 5·50 do 5·90, owies od 6·90 do 7·10, rzepak od 11·75 do 13·—, hreczka 6·75 do 7·40, wyka od 5·25 do 5·75, bobik od 5·90 do 6·20, groch 6·75 do 8·75, kukurudza st. od 5·20 do 6·—, konicz czerwony od 30·— do 48·—, szwedzki od —·— do —·—, biały od 28·— do 40·—. Spirytus za 10.000 litr. od 16·75 do 17·10.

Dom handlowy dla rolnictwa i przemysłu we Lwowie ulica Sykstuska l. 35, dostarcza całymi wagonami kukurudzę, jęczmień, owies i bobik oraz nawozy sztuczne i węgle w wszelkich używanych markach. Przyjmuje zamówienia na nasiona do siewu wiosennego z gwarancją za siłę kiełkowania.

— **Sprawozdanie z targu** zbożowego na Kleparzu. Kraków 18. stycznia. Przebieg dzisiejszego targu był odpowiedni ogólnemu spokojnemu usposobieniu, jakie w handlu zbożowym panuje. Dowozy mianowicie z Królestwa były trochę większe, lecz właściciele zboża zachowują się przeważnie wyczekująco, tak, że chwilowe zaofiarowanie nie przewyższa również ograniczonych potrzeb kupujących.

W cenach nie zaszły ważniejsze zmiany.

Płacono pszenicę: białą od 10·80 do 11·25; czerwoną 11·25 do 11·80 zł.; żółtą 11·25 do 11·75 zł.; żyto 8·35 do 8·90 zł.; jęczmień browarny 7·50 do 8·50 zł.; na paszę 6·10 do 6·70 zł.; owies 7·— do 7·50 zł. owies do siewu —·— do —·— zł.; pszenica nowa —·— do —·— zł.; żyto nowe —·— do —·— zł.; wykę —·— do —·— zł.; rzepak —·— do —·— zł.; konicz czerwony —·— do —·— zł.; biały —·— do —·— zł. Wszystko za 100 kilogr.

— **Dyrekcja kolei państwowych donosi:** „Z dniem 15. stycznia 1898 roku został na szlakach bukowińskich kolei lokalnych Hliboka-Berhometh u. S. Mezobrody i Karapozin n. S. Czudyn nowy rozkład jazdy zaprowadzony i afiszami ogłoszony“.

— **Nowa kolej.** „Dnia 2. stycznia b. r. otwarto wązkotorową kolej lokalną Zell a See-Krimml ze stacjami i przystankami: Zell a See (isniejąca stacja kolei państwowej), Tichlerhäusel (ładownia), Brückberg (przystanek), Fürth-Kaprun (stacja), Niederusill (stacja), Lengdorf (przystanek), Uttendorf-Stubbachthal (stacja), Stuhlfelden (stacja), Burgwies (przystanek), Mistersill (stacja), Rottenbach (przystanek), Hollersbach (stacja), Dorf, Pass, Thuru (przystanek), Mühlbach (stacja), Bramberg (stacja), Habachthal (stacja), Neukirchen (stacja). Rosenthal, Gross Venediger (stacja), Wald (stacja) i Krimml (stacja).

Stacje będą dla ogólnego ruchu, zaś przystanki tylko dla ruchu osobowego i pakunkowego otwarte.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 21. stycznia.

(Odroczenie „debaty teatralnej.“ — Debata teatralno ślusarska. — Sprawozdanie prof. Rawera o obecnym stanie sceny skarbkowskiej. — Zakupno starych zbroi polskich. — Obchód styczniowy).

A zatem jeszcze raz strącono z porządku dziennego dyskusję nad petycją dyrektorów teatru o przyznanie im dodatkowej pięciotysięcznej subwencji. Na wstępie wczorajszego posiedzenia zabrał głos dr. Byk i postawił wniosek, aby wysłuchać sprawozdania prof. Rawera o stanie teatru hr. Skarbka, jednakże dyskusję nad niem przeprowadzić dopiero na następnem posiedzeniu. Wniosek ten, zaaprobowany przez radę, postawił p. Byk dlatego, ponieważ wielu członków komisji finansowej, zajmującej się podaniem dyrekcji teatru, nie mogło być na wczorajszem posiedzeniu rady z powodu bankietu dla p. Abrahamowicza. Na propozycję p. Rawskiego uchwalono nadto zprawozdanie p. Rawera wydrukować i rozesłać członkom rady. W ten sposób posiedzenie wczorajsze straciło od razu połowę swojego uroku, a mnóstwo osób, zebranych na galerjach dla przysłuchania się „debacie teatralnej“ odeszło z rozczarowaniem, rezerwując sobie spodziewaną przyjemność dopiero na następny czwartek.

Zamiast dyskusji ściśle teatralnej przyszła na porządek dzienny rady sprawa półteatralna, mianowicie teatralno-ślusarska. Poruszył ją prof. Thullie, przedstawiając pisemną prośbę stowarzyszeń robotniczych „Jedność“ i „Przyjaźń“, aby roboty ślusarskie około budowy nowego teatru powierzono firmom lwowskim zamiast spółce, złożonej z sanockiej fabryki maszyn Lipińskiego i wiedeńskiej Bondego. W długiej i wyczerpującej dyskusji pokazało się, że nasze firmy ślusarskie traktowały sprawę owych robót trochę flegmatycznie, gdyż mimo, iż oferty rozpisano jeszcze w czerwcu 1897, a termin licytacji minął we wrześniu, dopiero teraz jedna z tutejszych firm namyśliła się postawić swoją kandydaturę. W rezultacie uchwalono polecić komisji rady miejskiej, aby jeszcze raz przejrzała oferty na roboty około teatru i wystylizowała odpowiednie wnioski. Uchwałę tę powitali obecni na galerji rękodzielnicy okrzykami: „Niech żyje rada miejska!“

Z kolei przyszło na porządek dzienny sprawoznanie delegata do komisji artystycznej profesora Rawera, o teraźniejszym stanie teatru lwowskiego. Sprawozdanie to, poprzedzone półgodzinnym pedantycznym wstępem o wszystkiem i o niczem, miało przedewszystkiem tę fatalną stronę, iż nie było wyrazem własnych spostrzeżeń i studjów p. delegata, lecz zbiorem cytatów, wyjętych z petycji dyrektorów i ze sprawozdań... wydziału krajowego. Po za tem p. Rawer wygłosił coś z rodzaju ody na cześć obecnego kierownictwa teatru, w której zamanifestował swoią tolerancję dla „nieco (?) pornograficznych występów na scenie“, oświadczył, iż o ile go poinformowano, p. Fiszer znajduje się tylko „na urlopie“, nadto pozwolił sobie na wycieczkę przeciw dziennikarstwu, do czego nie był wcale powołany i co prawdopodobnie nie leżało w zakresie sprawozdania. Wreszcie wyraził p. Rawer nadzieję, że dramat lwowski zakwitnie... w nowym gmachu teatralnym.

Dyskusja nad sprawozdaniem prof. Rawera, który wśród dymu kadzideł, spalonych na cześć dyrekcji wtrącił także dla lepszego efektu kilka dyskretnie zamarkowanych tonów ujemnych (wyjazdy teatru ze Lwowa na cały sezon letni, nieprzestrzeganie czystości języka itp.) odbędzie się na następnem posiedzeniu rady. Wtedy odsłoniętą zostanie także odwrotna strona medalu.

Na posiedzeniu wczorajszem uchwalono także na wniosek p. Marjańskiego zakupić kosztem gminy za 3000 zł. część sprzedanych przez hr. Drohojowskiego starych zbroi polskich, mianowicie tych, które się odnoszą do dziejów naszego miasta. Prezydent dr. Małachowski zawiadomił radę o obchodzie trzydziestej piątej rocznicy powstania styczniowego, zaaranżowanym przez mieszczaństwo lwowskie w dniu dzisiejszym:

Ze spraw czeskich.

(Telegramy „Dziennika Polskiego“).

Praga 21. stycznia. Po Fournierze zabrał głos p. Podlipny i wykazywał, iż sesja sejmu trwa już tak długo, a nie załatwiła jeszcze ani jednej sprawy ekonomicznej. Niemcy chcą tylko roznamiętniać pospólstwo, a środkiem do tego jest w ich rękach bursz noszący barwy. Naród czeski jednak zachowa spokój i nie będzie popierał interesu burzycieli z zawodu. Mówca musi atoli wezwać namiestnika, aby się starał zaprowadzić spokój. Bumel (zebranie studentów w auli uniwersyteckiej) i barwy studenckie nie są integralną częścią zasadniczych ustaw państwowych. (Spoglądając na Wolfa.) Dla miłości człowieka, który wszystkich podburza, nie można ograniczać wolności innych osób. Prowokacjom ze strony studentów niemieckich należy kres położyć.

Mówca odczytuje z ustawy ustęp, który władzom zezwala na zakazanie noszenia barw i mówi, iż w statucie burszów wcale nie jest powiedzianem, iż mu wolno spokojną ludność prowokować.

Dalej oświadcza dr. Podlipny, iż na oszczerstwa rzucane na praską radę miejską nie myśli odpowiadać. W końcu skarży się, że policja i wojsko nie zawsze oględnie postępują.

Następnie zaczął mówić ów bohater nożowy z parlamentu wiedeńskiego p. Pfersche. Gdy marszałek udzielając mu głosu wymienił jego nazwisko, Czesi powitali go głośnem pfuj!

Pfersche skarżył się na to, iż policja nierównomiernie obchodzi się ze studentami niemieckimi i czeskimi, i że tych ostatnich o wiele łagodniej traktuje.

Na tem dyskusję zamknięto.

Jeneralnymi mówcami wybrano: ze strony niemieckiej p. Werunsky'ego, ze strony czeskiej Pacaka.

Werunsky raz jeszcze oświadczył, iż Niemcy stosownie do uchwały powziętej w Chebie nie przystąpią do ugody póty, póki rozporządzenia językowe nie zostaną cofnięte.

Pacak zaś oświadczył, iż Niemcy każdą zmianę w rozporządzeniach językowych powziętą bez ich wiedzy, uważać będą za krok nieprzyjacielski. Czesi żądają tylko równouprawnienia.

Po kilku sprostowaniach w kwestjach formalnych i osobistych, przystąpiono do głosowania. Wniosek hr. Buquoy przyjęto 139 głosami przeciw 62, dodatkowy zaś wniosek Lobkowitza 132 głosami przeciw 62.

Następne posiedzenie w poniedziałek.

Praga 21. stycznia. Dyrekcja policji ogłosiła dziś obwieszczenie, zabraniające czasowo bez wyjątku wszystkim publiczne noszenie wszelkich demonstracyjnych odznak, tudzież ubiorów i szarf stowarzyszeń. Tylko w uwzględnienia godnych wypadkach można je nosić wyjątkowo za zezwoleniem władzy. Przekroczenia tego zakazu podlegają grzywnie do 100 zł. lub aresztowi do 14 dni.

Praga 21 stycznia. Wydany dziś zakaz noszenia odznak stowarzyszeń, dotyka tak samo niemieckie stowarzyszenia studenckie jak i „Sokołów“ czeskich. Mimo to przeciw temu zakazowi protestują tylko Niemcy, gdyż zakaz ten im tylko wytrącił z rąk znakomity środek prowokacyjny. Posłowie niemieccy postanowili z okazji tego zakazu wnieść interpelację. Zakaz ten miał zostać wydany za inicjatywą stronnictwa większej własności.

Kobiety czeskie wręczyły burmistrzowi m. Pragi dr. Podlipny'emu wieniec wawrzynowy za mowę, którą wygłosił on wczoraj w sejmie.

Studenci niemieccy odbyli dziś zgromadzenie, na którem uchwalili zaprotestować przeciw zakazowi noszenia barw burszowskich i odznak.

Praga 21. stycznia. W sejmie uzasadniał dziś p. Eppinger wniosek Schlesingera o cofnięcie rozporządzeń językowych i rzekł, że wniosek ten skutkiem dwukrotnego oświadczenia hr. Coudenhovego nie stał się bezprzedmiotowym.

Hajże na Polaków.

(Telegramy „Dziennika Polskiego.“)

Berlin 21 stycznia. Ogromną sensację wywołała tu mowa kanclerza rzeszy ks. Hohenlohego, którą wygłosił wczoraj w sejmie pruskim, a która skierowaną była przeciw Polakom. Wtajemniczeni wiedzą, iż po za frazesami tyle już razy powtarzanymi o niebezpieczeństwie polskiej propagandy tkwi coś zupełnie innego, a mianowicie zemsta za ostatnią uchwałę koła polskiego w parlamencie niemieckim, które czyniąc zadość tylekrotnie objawianemu życzeniu wyborców, postanowiło głosować przeciw przedłożeniom o marynarce. Niestety jednak w Prusiech dola Polaków taka, iż zawsze im wiatr będzie wiał w oczy i czy tak, czy owak postąpią, nie zaskarbią sobie wcale łaski u rządu. Gdyby Polacy byli uchwalili głosować za przedłożeniem o marynarce, mimo to system prześladowczy w Prusiech byłby nie ustał, ale rząd byłby im to grzeczniej niż obecnie powiedział.

Książe Hohenlohe w mowie swej wyliczył wszystkie możliwe powody, które przemawiają za koniecznością podwyższenia funduszu komisji kolonizacyjnej, ale o jednym zamilczał, a mianowicie o tem, że podwyższenie to sprawi największą radość benjaminkom rządu, pruskim junkrom, gdyż wskutek akcji rozwiniętej przez komisję kolonizacyjną w kierunku zakupna ziemi, cena zadłużonych ich powyżej wartości dóbr się podniesie, gdyż polscy kupcy, dla których olbrzymie, przez komisje zakupywane dobra nie są dostępne, będą musieli lepsze ceny za ziemię zapłacić junkrom.

Wielce prowokująca była mowa Miquela, który Niemców w Poznańskiem wezwał wprost do walki z Polakami.

Na obie te mowy pełne jadu i niegodne mężów stanu, roszczących sobie prawo do „wyższej kultury“, odpowiedział poważnie, z godnością, a energicznie ks. Jażdżewski.

Posiedzenie miało przebieg następujący:

Dla uzasadnienia wzniesionej przez rząd noweli do ustawy o komisji kolonizacyjnej, zabrał pierwszy głos kanclerz ks. Hohenlohe. Rzekł on: Co się tyczy politycznej strony tej nowe toli, faktem jest, iż w częściach kraju o narodowości mieszanej, polska narodowość nadzwyczaj się rozszerza i bierze przewagę nad niemiecką. Owoż celem tej ustawy jest temu zapobiedz i niemczyznę wzmocnić. Ustawa ta nie ma w sobie żadnej nieprzyjaznej dla Polaków tendencji. My musimy żądać od Polaków, aby względem Prus swe obowiązki wypełniali. Prawda, że jest wielu Polaków, którzy to czynią, ale równocześnie jest wielu takich, którzy zawsze mają jeszcze nadzieję odbudowania wolnej i niepodległej Polski i zieją do Prus nienawiścią. My nie możemy i nigdy nie wyrzekniemy się Poznańskiego. Zupełną słuszność miał Bismarck, gdy powiedział: „Musimy sobie od Wrocławia do Królewca wolną utorować drogę.“ Gdzie chodzi o interes państwa pruskiego, tam nie chcę nic wiedzieć o jakichś kompromisach. Jeżeli Polacy staną się i pozostaną uczciwymi Prusakami, wówczas my z nimi będziemy zawsze żyli w przyjaźni.

Poseł ks. Jażdżewski oświadcza, iż Polacy trzymają się tych samych zasad, które wygłosili w r. 1886 podczas obrad nad ustawą komisji kolonizacyjnej. Stosownie do ich przepowiedzeń okazało się, że ustawa ta obniżyła wśród ludu zaufanie do rządu i pogorszyła ogromnie wzajemne pożycie rozmaitych narodowości. Emigracja wśród Polaków znacznie przybrała, rozgoryczenie i niechęć nadzwyczaj wzrosły, a powaga państwowa kilka razy na tem srodze ucierpiała. Na wnioski postawione tak w interesie Polaków jak i państwa przez Polaków, a proszące rząd, aby przez odpowiednie cofnięcie uchwalonej podczas namiętnej dyskusji, ustawy kolonizacyjnej, utorował drogę do bardziej pokojowych stosunków, rząd odpowiedział wnosząc nowelę o podwyższenie funduszów na komisję kolonizacyjną. Przez to ludność polska została w sposób zupełnie nieusprawiedliwiony podejrzaną o zaburzenie spokoju, pokazano jej, że Polacy nie znajdują się pod panowaniem ojcowskiego rządu, lecz pod panowaniem jakiegoś nieznanego im bliżej koła, które bezwzględnie popiera germanizację przez mianowanie przeciwnych ustawie przepisów przez popieranie nienawiś i narodowych omijają te główne zasady, do których rząd rozumny, dbały o dobro swych poddanych jest obowiązany.

My protestujemy dlatego — kończył ks. Jażdżewski — znów przeciw ustawie z r. 1886 i przeciw teraźniejszej dodatkowej noweli i w obradach nad temi sprawami udziału brać nie będziemy, chyba żeby nas do tego jakiś bardzo ważny powód zniewolił (Oklaski).

P. Heydebrand (konserwatysta) przemawia za przedłożeniem rządowem.

P. Im Walle (centrum) sądzi, iż rząd za pomocą nowego przedłożenia znowu nic nie osiągnie, owszem pomnoży szeregi niezadowolonych, gdyż ustawa ta narusza prawo etatu.

Minister rolnictwa Hammerstein podnosi, iż ostry protest ks. Jażdżewskiego jest najlepszym dowodem, iż Polacy są nieprzyjaźnie dla Niemców usposobieni. Ks. Jażdżewski — ciągnął mówca dalej — z emfazą wołał, iż w Prusiech nie może być mowy o ojcowskim rządzie. Tymczasem Niemcy czynią rządowi zarzut, że faworyzuje Polaków (!). Dzisiejszy ruch polski przybrał demokratyczno-antimonarchiczny kierunek, a nadto usiłują Polacy wciągnąć do tego ruchu Litwinów, Mazurów i Kaszubów. O naruszeniu równouprawnienia przez ustawę o komisji i mowy być nie może. Mówca powołuje się w dalszym ciągu na daty i wykazuje, iż połowa większej własności znajduje się w rękach polskich, a średnia i drobna posiadłość wiejska, która się znajduje w polskich rękach, jest dwa razy większą od niemieckiej.

Wzmocnienie żywiołu niemieckiego ma wielkie kulturne znaczenie. Ustawa kolonizacyjna wcale nie ma jakichś antikatolickich tendencyj. Jestto zadaniem rządu niemczyznę wszędzie popierać i starać się o rozszerzenie niemieckich obyczajów w marchji wschodniej. Obowiązku tego cesarz i król dobrze jest świadom.

Narodowe odrębności rząd będzie zawsze szanował, a kultura niemiecka tylko na dobre wyjdzie Polakom. Mówca spodziewa się, że przyjdzie chwila, w której zapanuje trwały, pełen błogosławieństwa pokój.

P. Gamp (stronnictwo ludowe) zwraca się przeciw wywodom p. Im Walle. Komisja kolonizacyjna chcąc uchronić Niemców od zalewu polskiego, musi postępować energiczniej niż dotąd. Jako nauczyciele ludowi powinni w szkołach ludowych fungować, za odpowiedniem naturalnie wynagrodzeniem, tylko mężowie zaufania rządu.

P. Munckel nie popiera przedłożonej przez rząd noweli, gdyż jest przekonany, że ona do niczego nie doprowadzi. Rząd powinien być silnym i konsekwentnym, ale przedewszystkiem winien być sprawiedliwym.

Minister Miquel zauważył, iż osadzenie tylko 2250 rolników niemieckich jest już niezbitym dowodem, iż komisja nie śpi snem sprawiedliwych, lecz energicznie prowadzi swą pracę. Mając więc taki rezultat, śmiało można dalsze na ten cel sumy łożyć. Jest atoli jeszcze 60.000 m. ziemi do obsadzenia. Jesteśmy dość silni, abyśmy mogli dokonać naszych zadań. Pomnożenie liczby osób opłacających podatek jest korzystnem dla państwa.

Polacy różnią się od Niemców w swych materjalnych i moralnych dążeniach, bojkotują niemieckich lekarzy, aptekarzy itd.

Należy tylko czytać głosy prasy polskiej. W każdym polskim dzienniku jest mowa o przywróceniu Polsce samodzielności.

My nie chcemy mowy polskiej wytępić, ale już w swoim własnym interesie powinni Polacy uczyć się i umieć język niemiecki.

Pierwszy krok do porozumienia już jest uczyniony, a jest nim to, że Niemcy w Poznaniu noszą głowę tak samo wysoko jak Polacy.

Odwołujemy się dziś do całego niemieckiego ludu z prośbą o pomoc. Centrum przekona się, że komisja nie dotyka wcale kwestji interesów kościoła katolickiego.

P. Nadbyl twierdzi, iż celem ustawy kolonizacyjnej jest zniszczenie Polaków i katolicyzmu.

Minister Miquel oświadcza, iż w tej chwili cofnie przedłożenie rządowe, jeśli mu kto udowodni, iż propaganda wielko-polska — jak twierdzą niektórzy — wybuchła właśnie z powodu wydania ustaw kolonizacyjnych. (Wesołość).

Przyjaciel nasz polakożerca narodowy liberał Sattler polemizuje z p. Nadbylem.

Po przemówieniach tych odesłano przedłożenie do komisji budżetowej.

Następne posiedzenie w poniedziałek.

Z sejmów.

(Telegram „Dziennika Polskiego“).

Berno 21. stycznia. W sejmie morawskim p Fux uzasadniał swe wnioski w sprawie zaprowadzenia kuryj, podziału rady szkolnej krajowej itd. Wnioski te odesłano do komisyj.

Lublana 21. stycznia. Posłowie słoweńscy postanowili w sejmach karyntyjskim i styryjskim przemawiać tylko po słoweńsku.

Sprawa Dreyfus-Esterhazy.

(Telegram „Dziennika Polskiego“).

Paryż 20. stycznia. Proces przeciw Zoli i i redakcji *Aurore* odbędzie się przed przysięgłymi dnia 5. lutego.

Z miast prowincjonalnych donoszą o rozruchach antisemickich.

Na radzie gabinetowej minister spraw wewnętrznych oświadczył, iż poczynił już wszelkie kroki, aby przeszkodzić demonstracjom ulicznym.

W „Quartier latin“ odbyła się wczoraj demonstracja studentów. Kilkanaście osób aresztowano. Wieczorem panował spokój.

Paryż 21. stycznia. Wczoraj aresztowano tu 150 osób.

Komitet, który zawiązał się dla zorganizowania akcji protestu przeciw syndykatowi pracującemu w interesie Dreyfusa, postanowił, wbrew zakazowi władz, urządzić w najbliższą niedzielę wielką demonstrację ludową.

Dziennik *Siècle* dowiaduje się, że pułkownik Picquart poważnie zaniemógł i przewieziono go z więzienia do szpitalu.

W Nancy, mimo, że policja aresztowała wielu studentów, demonstracje przeciw żydom nie ustają. Dwustu studentów postanowiło utworzyć między sobą komitet antysemicki, który wyszle telegramy gratulacyjne do Rocheforta i Drumonta.

TELEGRAMY „Dziennika Polskiego.”

Budapeszt 21. stycznia. Gautsch, Boehm-Bawerk i Koerber przybyli tu wczoraj wieczorem i toczą rokowania w sprawie ugody. W sobotę wieczorem wszyscy trzej wracają do Wiednia. Tu utrzymują, iż konferencja nie spełznie na niczem i że co do kwoty nastąpi porozumienie.

Ateny 21. stycznia. Rosja znów wysunęła kandydaturę księcia greckiego Jerzego, na gubernatora Krety. Kandydatura ta ma wielkie szanse powodzenia.

Wadowice 21. stycznia. Włodarskiego, który, jak to donieśliśmy, uciekł z więzienia w Wadowicach, schwytano tutaj i odstawiono do więzienia.

Wiedeń 21. stycznia. Elewi leśni Owsiak i Lisikiewicz mianowani asystentami leśnymi w okręgu lwowskiej dyrekcji domen i lasów.

Prezydent sądu krajowego w Czerniowcach Wessely otrzymał krzyż rycerski orderu Leopolda.

Kanea 21. stycznia. Sześćdziesięciu muzułmanów przerwało kordon koło Kandji i zaatakowało powstańców. Wysłano tam posiłki wojskowe i aresztowano 24 ludzi. Powstańcy w liczbie 500 natarli na muzułmanów w Phinikia, ale wojsko regularne ich odparło. Czterej Turcy są ranieni.

Budapeszt 21. stycznia. Ministrowie austrjaccy br. Gautsch, Körber i Böhm-Bawerk zeszli się dziś o godzinie 11. rano na konferencję z węgierskimi ministrami br. Banffym, Lukacsem, Danielem i Daranym. Jutro wracają austrjaccy ministrowie do Wiednia.

Brody 21. stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu izby handlowej wybrani zostali ponownie panowie: Stanisław Burstin prezydentem, a Michał Kulak wiceprezydentem.

Telegramy giełdowe i targowe.

Wiedeń 21. stycznia.

Giełda pieniężna. Wczoraj po zamknięciu giełdy wieczornej notowano: Kredyty 355·37, Węg. Kredyty 381·25, Anglobanki 161·—, Wiedeńsk. „Bankverein“ 259·—, Unjony 300·—, Laenderbank 218·50, Sztacbany 342·—, Lombardy 79·50, Elbethale 265·—, Kolej północno-zachodnia 250·50, Tytuniowe 137·—, Rima 248·25, Alpiny 143·20, Renta majowa 102·45, Węg. renta koronowa 99·15, Losy tureckie 60·90, Marki niemieckie 58·85.

Berlin 21. stycznia. Giełda wczorajsza wieczorna: kursa końcowe. (W nawiasie podane cyfry oznaczają kurs porównawczy wiedeński tak zwane *Wiener Parität*). Kredyty 223·10 (355·38). Sztacbany 145·25 (341·59), Lombardy 35·— (81.65), Disconto 202·60 Usposobienie spokojne.

Frankfurt 21. stycznia. Giełda wczorajsza wieczorna, kursa końcowe. (W nawiasie podane cyfry oznaczają kurs porównawczy wiedeński tak zwane *Wiener Parität*). Kredyty 300·50 (355·22). Sztacbany 294·12 (341·33). Lombardy, 71·— (81·56), Laura —·—, Harpener 183·35, Disconto 202·40. Usposobienie mierne.

Z Izby handlowej i przemysłowej.

Lwów 21. stycznia 1898 r.

I. Akcje za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 200 zł. m. k. 212·— do 215·—. Kolej Lwow.-Czern.-Jassy po 200 zł. w. a. w srebr. 294·— do 297·—. Banku hipot. po 200 zł. w. a. 385·— do 395·—. Banku kred. gal. po 200 zł. w. a. 200 — do 210·—. Garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200·— do 210·—. Fabryki wagonów w Sanoku przedtem Lipińskiego po 500 koron — 250 zł. w. a. 262·— do —·—.

II. Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% w. a. wylosowal. z 10% prem. 110·— do 110·70. Banku hipot. gal. 4½% w. a. los. w 50 lat 100·— do 100·70. Banku hipot. gal. 4% w. a. losów w 60 lat po 200 koron 96·50 do 97·20. Banku krajowego 4½% w. a. los. w 51 lat 100·80 do 101·50. Banku krajowego 4% w. a. los. w 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. galic. ziemsk. 4% (I. emisja) 97·80 do 98·50. Tow. kredyt. gal. ziem. 4% los. w 41½ lat. 97·30 do 98·—. Towarz. kredyt. galic. ziem. 4% los. w 56 lat. 96·70 do 97·40.

III. Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% w. a. 98·— do 98·70. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% w. a. 102·75 do —·—. Kom. Banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·50 do —·—. Komunalne Banku krajowego 4½% w. a. III. em. 100·30 do 101·—. Kolej. lokalne Banku kraj. 4% po 200 kor. 97·50 do 98·20. Pożyczki kraj. 6% w. a. 103·— do —·—. Pożyczki kraj. 4½% w. a. —·— do —·—. Pożyczki kraj. 4% w. a. z roku 1891 —·— do —·—. Pożyczki kraj. 4% po 200 koron — 100 zł. w. a. z roku 1893 97·80 do 98·50. Pożyczki 4% gminy miasta Lwowa 96·20 do 96·90.

IV. Losy. Miasta Krakowa od 26·50 do 28·50. Miasta Stanisławowa od 48·— do —·—

V. Monety. Dukat ces. 5·64 do 5·74. Napoleon'dor od 9·49 do 9·59. Półimperjał 9·49 do 9·59. Rubel ros. srebrny 1·20·— do 1·25·—. Rubel ros. papierowy 1·27·20 do 1·28.20 100 marek niem. 65.65 do 59·10

Przyjechali do Lwowa.

dnia 21. stycznia 1898 r.

HOTEL EUROPEJSKI. Br. A. Horroch z Winniczek. B. Jocz z Przemyśla. S. Chojecki z Rudek. B. Pilatowski z Brodów. M. Hulimkowa z Chłopiatyna. J. Lülmann z Bremy. J. Hołub z Przemyśla. H. Zakrzewski Próchnika.

HOTEL IMPERIAL ulica Trzeciego Maja l. 3 pierwszorzędny hotel restauracja i kawiarnia. R. ks. Puzyna z córką z Narola. A. hr. Mniszek z żoną z Makuniowa. T. hr. Czosnowski z Ożomla. Ks. J. hr. Wiśniewski z Jarosławia. W. Garapich z żoną z Szyły. L. Hottenstein, K. Majewski z Malkowic. J. Götz z Okocima. J. Tustanowski z Oskrzesiniec. N. Kłodnicka z Krakowa. T. Studnicki z Kormaniec. J. Kochanowski z Krakowa.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

ORDNE OGŁOSZENIA.

Doniesienia rozmaite.

po 1½ centa od wyrazu.

POSZUKUJĄ POSADY.

Ogrodnik, kawaler, z chlubnemi świadectwami z 12-letnią praktyką poszukuje posady zaraz. M. B. poste restante Żółkiew. 40

Poszukuję do handlu wspólnika lub wspólniczkę natychmiast; kapitał 2.000 złr. A. D. poste restante Lwów.

Kucharz poszukuje posady z dobrymi świadectwami. Franciszek Trybusiewicz, Milatyn nowy.

Osoba młoda poszukuje posady w sklepie lub klucznicy może się zająć dziećmi i zarządem domu. Łaskawe zgłoszenie poste restante J. B. l. 30. Lwów. 40

WOLNE POSADY.

Notarjusz Jarema z Jasła, potrzebuje dyurnistę rutynowanego w sprawach hipotecznych i spadkowych.

ROZMAITOŚCI.

Książki różnej treści oraz **kartki z widokami** dostarcza tanio **Bogdański Myślenice.**

Szynki marynowane i wędzone w smaku wyborne, sprzedaje kilo po 70 ct., nie licząc nic za opakowanie. Mikołaj Stasiuk w Pomorzanach. 47

Siemensa i Halskego 2 dynamo-elektryczne maszyny do światła elektrycznego lub przenoszenia siły, pierwsza 8 konna, 100 voltów i 40 amperów, druga 3 konna, 30 voltów, 20 amperów, 14 dni zaledwo używane, z powodu wycofania się ze spółki do sprzedania. Zwiernicki w Zwierniku p. Łęki górne. 43

Rozkład jazdy pociągów kolejowych dla miasta Lwowa,

wedle czasu środkowo-europejskiego późniejszego o 36 minut od czasu lwowskiego, ważny od 1. października 1897 r.

Pociąg	godzina	przychodzi do Lwowa:
osobowy	7·30	z Suczawy i Czerniowiec
„	7·50	z Janowa
„	7·52	z Tarnopola i Brodów na Podzamcze
„	8·05	ze Stryja i Ławocznego
„	8·15	z Tarnopola i Brodów na dworzec główny
„	8·25	z Sokala i Rawy ruskiej
„	9·10	z Krakowa w połącz. z Chyrowem
„	10·35	z Jarosławia
„	1·15	z Janowa
pospiesz.	1·20	z Krakowa w połączeniu z N. Sączem, Zagórzem, Chyrowem i Rawą
osobowy	1·40	ze Stryja i Ławocznego w połączeniu z Chyrowem i Stanisławowem
pospiesz.	1·50	z Suczawy i Czerniowiec
„	2·15	z Podwołoczysk na Podzamcze
„	2·30	z Podwołoczysk i Brodów na dworzec główny
osobowy	5·25	z Bełzca w połącz. z Sokalem i Jarosławiem
„	5·35	z Podwołoczysk i Brodów na Podzamcze
„	5·45	z Czerniowiec
Noc		
osobowy	6·—	z Podwołoczysk na dworzec główny
„	6·5[illegible]	z Krakowa w połącz. z Rozwadowem
„	8·4	z Brzuchowic tylko od ⅕ do ³⁰⁄₉ włącznie
pospieszny	8·4[illegible]	z Krakowa, Jasła, Sanoka
osobowy	9·10	z Suczawy i Czerniowiec
„	9·[illegible]	z Krakowa w poł. z N. Sączem i Rawą
pospieszny	9·[illegible]	z Suczawy i Czerniowiec
„	9·[illegible]	z Podwołoczysk i Brodów na Podzamcze
„	10·—	z Podwołoczysk i Brodów na dworzec gł.
osobowy	10·[illegible]	ze Stryja w poł. z Chyrowem
„	12·1[illegible]	z Ławocznego, Stryja, Kałusza
„	3·04	z Podwołoczysk na Podzamcze
„	3·3[illegible]	z Podwołoczysk na dworzec główny
pospieszny	5·1[illegible]	z Krakowa w poł. z N. Sączem, Jasłem i Chyrowem

Pociąg	godzina	odchodzi ze Lwowa:
pospiesz.	6·—	do Podwołoczysk i Brodów z dworca główn.
„	6·10	do Czerniowiec i Suczawy
„	6·15	do Podwołoczysk z Podzamcza
osobowy	6·45	do Czerniowiec i Suczawy
pospiesz.	8·40	do Krakowa, Rozwadowa, Orłowa przez Tarnów
osobowy	8·50	do Janowa
osobowy	8·55	do Krakowa w połącz. z N. Sączem
„	9·20	do Skolego, Kałusza, Chyrowa
„	9·25	do Bełzca w połącz. z Sokalem i Jarosławiem
„	10·05	do Podwołoczysk i Brodów z dworca główn.
„	10·27	do Podwołoczysk i Brodów z dworca Podzamcze
„	10·45	do Czerniowiec i Suczawy
pospiesz.	1·55	do Podwołoczysk i Brodów z dworca główn.
„	2·08	do Podwołoczysk i Brodów z dworca Podzamcze
pospiesz.	2·40	do Suczawy i Czerniowiec
pospiesz.	2·50	do Krakowa w poł. z Rawą i Chyrowem
„	3·05	do Stryja
„	4·40	do Jarosławia
Noc		
osobowy	6·45	do Krakowa i Pesztu
„	7·05	do Sokala i Rawy ruskiej
osobowy	7·25	do Tarnopola z dworca głównego
„	7·30	do Stryja i Ławocznego, Kałusza, Chyrowa
„	7·4[illegible]	do Tarnopola z dworca Podzamcze
„	7·4[illegible]	do Janowa
„	10·3[illegible]	do Czerniowiec i Suczawy
pospieszny	10·5[illegible]	do Krakowa w połącz. z Jasłem, Rozwadowem i N. Sączem
osobowy	11·—	do Podwołoczysk i Brodów z dworca gł.
„	11·2[illegible]	do Podwołoczysk, Brodów, Kopeczyniec Husiatyna z dworca Podzamcze
„	4·4[illegible]	do Krakowa w poł. z Chyrowem, Jasłem Rozwadowem i N. Sączem
„	5·30	do Stryja, Ławocznego i Chyrowa

UWAGA Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut, a mianowicie 12 godz. w czasie środkowo-europejskim = 12 godz. 36 min. czasu lwowskiego. Nocne godziny od 6·00 wieczór, do 5·59 rano objęte są **ramkami.** Biuro informacyjne c. k. kolei państw. przy ulicy 3 Maja w Hotelu Imperial udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy w formacie kieszonkowym.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni K. Budweisera pod zarządem Ludwika Ringla.